

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

13 - 14 września 1952 roku
I krajowa narada przodujących nauczycieli
i pracowników nauki w Warszawie

Rok IX

Warszawa, dn. 24 VIII. 1952 r.

Nr 34 (368)

EUSTACHY KUROCZKO
Prezes Zarządu Głównego ZZNP

O NASZEJ PRACY

NOWY rok szkolny 1952-53 zaczynamy w obliczu wielkich wydarzeń w życiu naszego kraju. Uchwalenie Konstytucji, VII Plenum, Zlot Młodych Przedowników — oto wydarzenia z których wyciągnąć musimy wnioski dla naszej pracy.

Blisko pięć milionów uczącej się dziatwy i młodzieży przestąpi w dniu 1 września próg szkoły. Wejście do szkoły zrodzone już w wojennej Polsce pokolenie Konstytucji, pokolenie, któremu sążone jest radość z życia w ustroju socjalistycznym. I dlatego rok rocznie precyzujemy nowe zadania które wizję socjalistycznej Polski czynią nam bliską i dokładniejszą, wiążąc je z konkretną rzeczywistością przeżywaną przez kraj.

Tow. Bierut, w referacie wygłoszonej na VII Plenum postawił przed nami odpowiedzialne zadania. W całym kraju toczy się walka o najwyższą moc produkcyjną zakładów pracy, kopalni, fabryk, hut i gospodarstw rolnych — pod tym też kątem widzenia spojrzeć należy na pracę szkoły, na jej wydajność i jakość.

Rzecz jasna, że przez „moc produkcyjną” szkoły rozumieć będziemy przede wszystkim najlepsze wyniki nauczania, nierozdzielnie związane z jakością pracy nauczyciela, poziomem ideowo-wychowawczą roboty w każdej klasie, w każdym zespole szkolnym. Ilościowe wskaźniki pracy w szkole polegają będa na pełnej realizacji hasła: „Każde dziecko musi znaleźć miejsce w szkole. Dalej, na pełnej frekwencji w każdej klasie, na pełnym wykorzystaniu miejsc w internatach i bursach, w przedszkolach i domach dziecka, na maksymalnym wykorzystaniu działek przyszkolnych przez powiększenie ilości ogrodników mierzynińskich, poletek doświadczalnych, kajaków „żywej przyrody” itp.

Zasadnicze jednak zagadnienie — to jak o s c i pracy nauczyciela, głęboka troska o to, aby postawiony na cenurze ucznia stopień odpowiedzialności rzeczywiście opanowaniu przez niego materiału naukowego w zakresie każdego przedmiotu, to wreszcie solidne opracowanie każdej lekcji przez nauczyciela bez względu na to, jak długi jest jego staż pedagogiczny.

Walka o pełną „moc produkcyjną” szkoły wymaga zrozumienia przez każdego nauczyciela podstawowej zasady, że szkoła i głównie szkoła jest zasadniczym warsztatem jego działalności a pewne osiągnięcia na polu pozaszkolnej pracy społecznej nie mogą być uznane za zasługę, jeżeli szkoła pozostanie zaniedbana. Czy to znaczy, że nauczyciel ma się zamknąć w szkole? Byłoby to błędnym wyciągnięciem wniosków z zadań, jakie nas czekają i z naszych dotychczasowych doświadczeń.

Trzeba sobie powiedzieć prawdę, że dotąd zagadnienie sojuszu chłopstwa — robotniczego w pracach szkoły poważnie splotaliśmy, że nie weszło ono jako część składowa do całego systemu nauczania, do naszej pracy wychowawczej. To cośmy dotychczas w tym zakresie robili, sprowadza się do stosowania raczej form pomocniczych z pominięciem głównej — n a u c z a n i a. O sojuszu chłopstwa-robotniczym a więc o podniesieniu towarowości gospodarstwa, o upowszechnianiu wiedzy rolniczej, o postępie technicznym, o konieczności przebudowy wsi polskiej, o jedności politycznej narodu trzeba uczyć zarówno w szkołach wiejskich, jak i miejskich. Trzeba uczyć niemal we wszystkich przedmiotach, tak w naukach przyrodniczych, jak i w geografii, a nade wszystko na lekcjach polskiego, na godzinach wychowawczych, w kołach naukowych, na zebraniach harcerskich i zetempowskich. Trzeba uczyć na kursach dla dorosłych, w świetlicach, trzeba — jak wskazuje tow. Bierut — cierpliwego, systematycznego, ciągłego wychowywania pracującego chłopstwa, planowego kierowania go na drogę socjalizmu. A w tej splotni, jaka łączy klasę robotniczą z chłopstwem, nauczyciel polski jest jednym z ważniejszych i najczulszych ogniw.

Dlatego również koniecznym staje się sprowadzenie tych zagadnień konkretnie i planowo na plany dydaktyki. Stąd specjalne zadania dla rad pedagogicznych szkolnych i międzyszkolnych organizacji związkowych, ich narad wytwórczych, zwłaszcza przy planowaniu rozkładów materiału nau-

kowego, w ogóle w planowaniu pracy szkolnej.

Osobnym zadaniem, które w zasadzie istniało w naszej szkole, lecz było pojmowane odmiennie, będzie sprawa właściwego ustawienia i wykorzystania naszych rezerw kadrowych. Powiedzmy otwarcie, że dotychczas nauczyciel interesował się tym zagadnieniem jedynie tylko przy wyborze zawodu przez młodego człowieka w przełomowej 7-ej i 10-ej klasie. Na zagadnienie wyboru zawodu przez młodą dziewczynę lub chłopca patrzyliśmy często pod kątem tradycyjnej pedagogiki, nie dostrzegając i nie rozumiejąc wagi tego zagadnienia dla gospodarki narodowej.

Na VII Plenum, zarówno w referacie tow. Bieruta, jak i w dyskusji (tow. Jedrychowski, tow. Bilnowski) zagadnienie kadr wysunęło się na plan pierwszy. Okazało się, że budownictwo socjalistyczne we wszystkich prawie dziedzinach wymaga planowego dopływu nowych sił, tym więcej że niektóre dziedziny jak górnictwo czy hutnictwo odczuwają już poważny niedobór kadr. Szkoła polska przechodziła dotąd obok tych zagadnień obojętnie, nie potrafiła rozwinąć w sercach i umysłach naszych wychowanków romantyzmu wielkiej budowy ani przekonać ich o pięknie takich zawodów jak górnictwo, hutnictwo, czy też budownictwo okrętowe.

W starszych klasach szkolnym już w starszych klasach szkoły podstawowej i liceach dołożyć musimy wiele wysiłku, by odpowiadając do szkół zawodowych młodzież znalazła się tam w jeszcze większej ilości, a szczególnie w tych szkołach, które związane są z podstawowymi gałęziami przemysłu. Nie od rzeczy byłoby wprowadzenie systemu wyróżniania nauczycieli szkół, z których wyszło najwięcej kandydatów na górników czy hutników, budowniczych czy agronomów. Trzeba by również przy pomocy PKPG oraz mającego powstać Ministerstwa Rezerw Kadrowych związać szkołę z problemami polityki kadrowej kraju drogą krótkotrwałych seminariów czy konferencji. A także zaznajomić lepiej kierowników szkół i kierowników powiatowych wydziałów oświaty z metodami rekrutacji do szkół zawodowych i przemysłu.

Wchodzimy w pierwszy etap realizacji postanowień Konstytucji — wyborów do Sejmu, a następnie wyborów do Rad Narodowych. Kampania wyborcza do Sejmu i Rad to wielka pogłówna lekcja dla milionów uczącej się młodzieży z której już pewien odsetek weźmie w niej czynny udział. W treści nauczania kampania wyborcza, jak i sam akt wyborczy w dniu 26 października stanowią będa jeden z najpoważniejszych rozdziałów Młodzieży szkolna, młodzież starszych klas powinna się zapoznać z ordynacją wyborczą, powinna na równi z całym aktywnym społeczeństwem uświadamiać swych rodziców, że sprawdzenie spisów wyborczych, głosowanie na najlepszych ludzi naszej Ojczyzny, walka z elementami, które usiłować będą umniejszyć znaczenie tego wielkiego aktu narodowego — to jest wielki i zaszczytny obowiązek.

Jest rzeczą pewną, że całe nauczycielstwo polskie weźmie czynny udział zarówno w kampanii wyborczej, jak i w organizacji wyborów. Nauczycielstwo wejdzie w charakterze członków i przewodniczących do terenowych komisji wyborczych, weźmie czynny udział w kampanii wyborczej jako awangardowa grupa wielkiego frontu ideologicznego w Polsce Ludowej. Milionami ludzi pracy w mieście i na wsi wyjaśniać będziemy o i c h p r a w i e d o w ł a d z y, wiążąc ich będziemy z państwem ludowym przez bezlitosne, publiczne demaskowanie kulackich kumotrów, tępich biurokratów oraz szkodników naszego życia zbiorowego, przez ustawiczne demaskowanie oblicza kłiki podlegaczy wojennych.

Akcję tę prowadzić będziemy w szkole w oparciu o s ł u b o w a n i e z ł o t o w e, które we wszystkich szkołach w dniu rozpoczęcia zajęć szkolnych uroczystie przypomnimy. Akcję tę prowadzić będziemy wśród rodziców naszej młodzieży, na kursach i świetlicach, zebraniach gromadzkich i w zakładach pracy — po to, by utrwalić osiągnięcia ośmiolatka naszej niepodległości, by przyspieszyć triumf socjalizmu na naszej ziemi.

Eustachy Kuroczko

HENRYK JABŁOŃSKI
Członek koresp. Polskiej Akademii Nauk,
Wiceminister Oświaty

Przed nowym rokiem szkolnym

„C O R A Z” więcej mamy w naszej gospodarce nowej techniki, wymagającej dokładnej i kwalifikowanej obsługi. Wszystko to wymaga nie zapewnienia siły roboczej w ogóle, lecz zapewnienia siły roboczej kwalifikowanej, kulturalnej, mogącej skutecznie posługiwać się nową techniką i umiejącej brać od tej techniki wszystko, co ona dać może” — mówił Prezydent B. Bierut na VII Plenum KC PZPR. Dlatego też szkoła nasza nie może ograniczyć się do nauczania tylko tych dzieci, które podlegają obowiązkowi szkolnemu lecz winna uczynić wszystko, by umożliwić naukę nawet tym, co wyrosli już formalnie z wieku szkolnego, nie uzyskując jednak warunków na to, by stać się kwalifikowanymi, kulturalnymi pracownikami w przemyśle czy rolnictwie.

Szkoła podstawowa wiejska ma jednak bardzo ważne i istotne zadania i wobec tej młodzieży, która jest poza jej murami. Szkoła wiejska stanowi bowiem ważny ośrodek kulturalny, o który opierać się muszą nie tylko takie formy nauczania, jak szkoła dla pracujących, ale i te wszystkie prace kulturalno - oświatowe, które nie mają tak zwartych form organizacyjnych.

Przed wszystkim nauczyciel wiejski pamiętać musi, że pozostało jeszcze w naszym kraju — wedle danych powszechnego spisu ludności — około 100.000 analfabetów, których ze względu na rozproszenie, nie udało się ująć w ramy szkolenia masowego. Oznacza to, że w rejonie każdej szkoły może się znaleźć jeszcze kilku analfabetów. Ambicją każdej szkoły winna być w przyszłym roku szkolnym pełna likwidacja tego zjawiska.

Aktywna współpraca w organizacji zespołów czytelnickich na wsi, otoczenie opieką ludzi wywołonych z analfabetyzmu, pomoc uczącym się korespondencyjnie, czynny udział w LZS-ach — to tylko przykłady wielkiego zasobu możliwości kulturalnego promieniowania szkoły wiejskiej.

Należyta organizacja sieci szkół i wprowadzenie do nich uczniów, to tylko początek pracy szkolnej. Rezultaty tej pracy oceniać będziemy według tego, jak szkoła nasza wychowa młodzież, czego ją nauczy.

Na trzecim Zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego mówił Prezydent Bierut: „Nauczycielstwo nasze wykona swe zadania, jeśli przygotowywać będzie podratki młodzieży do udziału w budownictwie socjalistycznym, do czynnej i świadomej realizacji tej historycznej i porywającej misji, która przypadła w udziale naszemu pokoleniu”.

Zadanie to wykonać może nauczyciel tylko przez właściwą organizację własnej pracy dydaktycznej i wychowawczej i pełną mobilizację uczniów do nauki.

Właściwa organizacja pracy dydaktycznej i wychowawczej w każdej konkretnej szkole w oparciu o coraz lepszy program i podręcznik, o coraz lepszą pomoc instrukcyjno-metodyczną aparatu nadzoru pedagogicznego — to warunek podstawowy pogłębiania się procesu nauczania pracy szkoły socjalistycznej treścią nauczania i stałego podnoszenia się wyników dydaktycznych i wychowawczych.

Szkoła nie wykona tego zadania sama. Nowe instrukcje programowe, częściowo ulepszone podręczniki, rozpoczęta praca wydawnicza w zakresie metody nauczania poszczególnej przedmiotów, rozbudowa sieci i usprawnienie pracy ośrodków doskonalenia kadr itp. — dadzą jednak tylko wtedy właściwe rezultaty, gdy wykorzystają je w pełni ze chęcią kolektyw nauczający w każdej szkole, gdy doceni ich wagę każdy nauczyciel.

Przed wszystkim szkoła nie może podejść w sposób formalny do zmian ujętych w przygotowanych dla każdego typu szkół instrukcjach programowych. W zasadzie bowiem programy pozostają takie same jak w roku ubiegłym, ale nowe instrukcje usuwają spostrzeżone błędy, precyzują punkty niejasne, wypuklają problemy zasadnicze, a wreszcie — co jest sprawą wielkiej wagi — wprowadzają nowy przedmiot nauczania: naukę o Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Henryk Jabłoński

dzio ważna, ale tylko część nauczania w tym zakresie. Szkoła nie spełni swego zadania, jeśli treść Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie przepoi całej lekcyjnej i pozalekcyjnej pracy szkolnej.

Walcząc zdecydowanie o właściwą treść nauczania, szkoła nasza podnieść musi jednocześnie wyniki swej pracy dydaktycznej i wychowawczej. Zbyt wielka wciąż jest liczba uczniów, którym słabe wyniki nauczania uniemożliwiają promocję do klasy następnej.

Rezultaty tego stanu rzeczy nie pozostają bez wpływu i na życie gospodarcze kraju. Uczeń, który choć raz jeden nie zdobędzie promocji w czasie swej nauki szkolnej, o rok później przygotowany będzie do pracy zawodowej względnie do dalszych studiów. Każdy rok stracony przez ucznia w szkole — to wrogi atak na nasz bilans kadrowy. Rzecz oczywista jednak, że nie chodzi tu o żadne sztuczne, mechaniczne zmniejszanie ilości drugorzędnych, do produkowania „niedouczków”, ale o prawdziwe, faktyczne podnoszenie wyników nauczania.

Nie sposób jednak oderwać walki o wyniki nauczania od walki o poziom pracy wychowawczej szkoły. Czysta atmosfera ideowa w szkole, wyteżona praca nad zaszczepieniem uczniom światopoglądu naukowego i nad wychowaniem w duchu moralności socjalistycznej, przepojenie uczniów żarliwym patriotyzmem i szczerym ludowym internacjonalizmem — to podstawowa gwarancja dobrych wyników pracy szkoły, to gwarancja, że uda jej się zmobilizować uczniów do nauki, że nie będzie miał dostępu do dziatwy i młodzieży wrogiej, pragmatycznej rozluźnieniu obyczajów, demoralizacji i osłabieniu dyscypliny szkolnej, odebrać naszemu narodowi rosnącą kadrę młodych budowniczych socjalizmu.

Szkoła nasza ma już wielkie osiągnięcia wychowawcze, ale wciąż są one jeszcze niedostateczne, przede wszystkim dlatego, że nauczycielstwo nasze nie umie jeszcze w pełni mobilizować swych naturalnych sojuszników, w pierwszym rzędzie organizacji młodzieżowej i rodziców.

W zbliżającym się nowym roku szkolnym trzeba też postawić sobie w skali krajowej jako zadanie pierwszoplanowe pogłębienie współpracy nauczycielstwa z jego sojusznikami w pracy wychowawczej. Często jednak na wsi naszej sojusznicy ci są słabi liczebnie i organizacyjnie i szkoła nasza zrobić musi ogromny wysiłek, by wzmocnić or-

gany są rodzice, jest zdobycie przez szkołę i nauczyciela należytego zaufania.

Oceniać należy nauczyciela przede wszystkim za jego pracę w szkole, a wyniki jej są podstawowym miernikiem jego wartości. Ale wiemy również, że wyniki tej pracy zależą w znacznej mierze od mobilizacji uczniów, przy współpracy domu i organizacji młodzieżowej. A mobilizacji tej dokonać może tylko ten nauczyciel, który swą postawą ideową budzić będzie całkowite zaufanie, u którego między tym, co głosi w szkole, a własnym życiem parować będzie pełna zgodność, która nie będzie formalnie traktował programu nauczania i instrukcji wychowawczych, ale istotnie przygotowywał zechce młodzież do budownictwa socjalistycznego, całą swą postawą osobistą, potwierdzając nauki szkolne.

„Falanga nauczycieli ludowych stanowi jeden z najniezbędniejszych oddziałów wielkiej armii ludzi pracy naszego kraju, którzy budują nowe życie na podstawie socjalizmu” — pisał w 1935 r. tow. Stalin. Tek-

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

Z jaką dumą patrzy dziś nauczyciel wiejski na uczniów swych, kończących szkoły średnie i wyższe, inżynierów, lekarzy, oficerów Ludowego Wojska, na swoich najmłodszych kolegów — nauczycieli, synów pracującego chłopstwa.

Nauczyciel wiejski wie dziś, że je-

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.



Foto J. K. Maciejewski



Foto — CAF

ganizację harcerską, pomóc w podniesieniu jej pracy na wyższy poziom. Od tego bowiem zależy poziom pracy szkoły jako całości.

Nie może też nas zadawała poziom pracy ogółu komitetów rodzicielskich i komitetów opiekuńczych. Stale bowiem rośnie liczba komitetów, a nawet wzorowo pracujących, rośnie ona jednak zbyt wolno, zdarzają się natomiast wypadki obniżenia dotychczasowego poziomu ich działalności, przede wszystkim w zakresie mobilizowania ogółu rodziców do współpracy ze szkołą. W żadnym wypadku nie wolno nam ograniczać pracy komi-

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

o wiejskie — jego uczeń i wychowanek.

WIESLAW JAZDZYNSKI

BYĆ DZIAŁACZEM — NAUCZYCIELEM

T RUDNO chyba dziś znaleźć na wsi nauczyciela, któryby zdecydował się podtrzymać stanowisko kol. Przeszło z gromady Żolynia (pow. Łańcut). Przeszło uważa, że zna dokładnie swoje obowiązki, podpisał kontrakt na nauczanie łaciny, wsadził więc nos w Wergilego i mocno się zdziwił, kiedy go spytano co z kontraktacją w Żolyniu. „Gospodarki nie prowadzę, nie utrzymuję żadnego kontaktu z rolnikami” — oświadczył inspektorowi.



Foto: J. K. Maciejewski

Mamy już obecnie i w dużych gminnych wsiach i na małych dalekich gromadach dziesiątki tysięcy nauczycieli-działaczy społecznych. Z każdym nowym rokiem szkolnym przybywa wielu młodych, pełnych entuzjazmu nauczycieli, którzy z miejsca rzucają się w wir politycznego, gospodarczego i kulturalnego życia wsi. Zakładają świetlice, reżyserują sztuki na wiejskich estradach, agitują za wzmocnieniem kontraktacji, propagują maszynową gospodarkę, rozstrząsają na gromadzkich zebraniach plany gospodarcze, zasiadają w GRN-ach, Komitetach Sklepowych, zabiegają w powiecie o elektryfikację, pomagają przy obliczaniu dniówek obrachunkowych po spółdzielniach produkcyjnych.

ZA KRÓTKA KÓLDRA?

Ale nasz młody, czy starszy kolega z nieznaną nam bliżej wsi, „zaorany” po uszy, wplątany osobliwie w istny labirynt konfliktów gromadzkich, odpowiedzialny częściowo za wykonanie gospodarczych planów, doglądający biblioteki i świetlicy, rozstrzygający żale chłopów, kierowane pod adresem GS-u, rozłożył któregoś dnia bezradnie ręce i oświadczył, że nie da dłużej rady. Co więcej — powiedział może, iż zanębuje szkołę, nie dokształca się, pozostaje w tyle. I to będzie prawdą, dotyczącą wcale nie-malej części nauczycieli pracujących na wsi. W końcu stwierdził sprzeczność pomiędzy jego zawodową a społeczną pracą, w której nie zawsze umie osiągnąć co trzeba. A przecież od niej oderwać się nie może, na pogłębienie zaś pracy zawodowej czasu nie starcza.

Pod tym względem bardzo znamienne wyniki przedstawił „Głos Nauczycielski”. O zbadanej grupie 70 nauczycieli, uczestników Państwowego Kursu Pedagogiczno-Społecznego w Łodzi, autor artykułu dr Kąkol pisze: „39 proc. ... oświadcza, że przeczytał w ciągu roku mniej niż 10 książek (z dziedziny literatury pięknej i popularno-naukowej) to samo stwierdza 75 proc. nauczycieli z miasta. Mniej niż 10 filmów widział w ciągu roku 44 proc. nauczycieli ze wsi i 22 proc. nauczycieli z miasta. 40 proc. wiejskich i 45 proc. wiejskich nauczycieli nie było w ciągu roku na żadnym koncercie, 60 proc. uczestników ankiety nie widziało nawet 5 przedstawień teatralnych w ciągu roku... 25 nie było w ciągu roku na żadnym odczynie — 18 nie oglądało żadnej wystawy — 38 nie brało udziału w żadnym zebraniu dyskusyjnym — 51 nie uczestniczyło w żadnym wieczorze świetlicowym...”

Trudności zatem, jakie ma obecnie od pokonania nauczyciel, występują równocześnie na dwu polach. W pracy zawodowej i społecznej. I tu i tam zagraża „pozostawanie w tyle”. Ta równoczesność jest najbardziej groźna i zaskonsternująca. Czyżby — jak mówią niektórzy nauczyciele — zastraszająca się konflikt między pracą zawodową a pracą społeczną nauczyciela? Czyżby nauczyciel stawiał się teraz ową przysłowiową „za krótką kóldrą” która albo nie okrywa nóg, albo ramion?

A przecież, jak uczył Lenin „szkoła poza życiem, poza polityką — to kłamstwo i obłuda”. Kóldra nauczycielska — rozumując na siłę koleśki — powinna zatem starczyć i na szkołę i na politykę. A właśnie odczuwają ją obecnie jako przykrątką.

Poręczmy, koleśki, porównanie z kóldrą, choćby dlatego, że jeśli ma się trudności, to równocześnie i w szkole i poza szkołą. A najkrótsza nawet kóldra osłoniłaby albo jedną albo drugą stronę.

Poręczmy, koleśki, teoryjkę o konfliktach między pracą zawodową a społeczną. Cóż to bowiem za teo-

ria, która nie pomaga wyjść z trudności. Widac błędnie i fałszywie wyjaśnia Wasze położenie.

KONIEC Z OMNIBUSAMI

Szkoła nie poza życiem, nie poza polityką — tego uczyliście się w nowej Polsce w sposób szczerły. Warto tę drogę i te dzieje przypomnieć. Jak zaczęliście? Po lekcjach hajda na wieś! Do czego? Do wszystkiego! Byliście ojcami chrześnymi wszystkich kolejnych narodzin nowego na wsi. Dzielenie ziemi — wasza w tym ręka. Wyjazd na Ziemię Odzyskaną — agitowaliście. Uspolecanie handlu — wy w Komitecie Spółdzielni itd. itd. A spraw przybywało, wyrastały nowe instytucje, nowe zawody, wyrabiali się nowi przodownicy, nowi działacze, nowi specjaliści. Pogłębiała się walka klasowa, sły nieustannie przemiany ekonomiczne i społeczne, obejmując całą gromadę, całą gminę. Na początku nie się bez Was obyć nie mogło. Byliście uniwersalni, wszystkim i wszędzie potrzebni. Przypomnijcie sobie jak to w pierwszych latach nieważności rwanie w nogach, jaki zapal, jak żywiołowo rozwijała się Wasza pomoc społeczna.

I teraz noszą Was nogi i tu i tam, i teraz nie brak Wam zapalu i teraz jeszcze — przyznajcie się — po dawnemu, partyzancko, w znacznym stopniu żywiołowo wszędzie Was pełno i wszędzie Was ciągną.

Ale teraz omnibus, jakim dawniej byliście z pożytkiem, spotyka działacza — specjalistę w GS-ie, w GRN-ie, w kontraktacji, w SOM-ie i POM-ie, w bibliotece, w świetlicy gminnej, w ZMP, w Koie Gospodyń, w Ośrodku Zdrowia, w komitetach partyjnych itd. itd.

O czymże te przemiany mówią? O tym, że na naszej wsi rozwija się i dojrzal wzór działacza społecznego, który jest przeciwieństwem przedwojennego, uniwersalnego apostoła. Nasz działacz ma określona, konkretną bazę. Jest nią instytucja lub wyodrębniony zakres spraw.

Dlatego przybywa nam działaczy w terenie. Przemieniając bowiem nasze życie, rozwijamy je i wzbogacamy. Oczywiście, nowi działacze nie zapominają wsi i gminy, jak figury na szachownicy. Ich stery działania zająbują się, przenikają wzajemnie, układają się nie tylko w stosunki współzależności ale również nadzerności jednych nad innymi.

Nie zmienia to faktu, że dziś kiedy nam mówią: działacz, pyamy — w jakim zakresie? Kiedy nam mówią: praca społeczna — pytamy — czego konkretnie dotyczy?

W tych obrachunkach, koleśki, warto byłoby przyznać samokrytycznie, że taki wzór działacza nie wyszło po wojnie kształtowało. Byliście często drożdżami rewolucji na wsi. Ale wszędzie tam gdzie na waszym fermentie wyrastała nowa instytucja, rośli równocześnie jej działacze i oni pragnęli nie czego innego, jak utrwalenia się nowej instytucji, jak zapuszczenia przez nią najgłębiej i najszerszej korzeni w terenie. Oni pożytek społeczny i polityczny sens swej roli widzieli w tym, że robią coś określonego i wyodrębnionego. Wiecie dobrze, jak trudno ich odciągnąć „od swojego”. Śmieliście się nie raz z ich ciasnoty i wąskości. Mają takie grzechy. Ale to uporczywie zaszczepiając nowego organu w życiu społecznym, jakie cechuje każdego z nich w POM-ie, w GS-ie, w Radzie, w Bibliotece itd., tworzyli nowy organ coraz bardziej niezbędny w życiu i w świadomości gromady i gminy.

Wycięli natomiast, wchodzili często za drogę, która, wyprowadzając was ze szkoły rozwijała się na wiele ścieżek. I bywaliście wszędzie ale dlatego o Was jako działaczach społecznych mówią po staremu — „nauczyciel... to działacz”. Znaczący się działacz — „ogólnie biorąc”. A w szczególności, konkretnie w jakim zakresie? Sami często nie umieliście na to pytanie odpowiedzieć.

I tu leży przyczyna Waszych obecnych trudności, a nie w „za krótkiej kóldrze”, nie w konfliktach między pracą zawodową a społeczną nauczyciela.

PIERWSZA PERSPEKTYWA — DZIECI I ICH MACIERZyste ŚRODOWISKO

„Ileż radości i satysfakcji daje praca nauczyciela w naszych warunkach, kiedy każdy talent, każde uzdolnienie znajduje nieograniczone możliwości rozwoju, kiedy każdy szlachetny poryw serca może być zrealizowany, a nie jest, jak to było przedtem, deptany przez ustrój wyższości i krzywdy społecznej. Umysł dziecięcy i młodociany — to świeża, płodna i wdzięczna gleba jeśli się ją umie kultywować delikatnie i troskliwie” (B. Bierut).

Takich warunków i takich perspektyw nie miała szkoła przed wojną. Waszemu bowiem zawodowi odebrana była wówczas skuteczność społeczna. Rozpocznaliście i ożywiający pierwsze znamiona uzdolnień, pierwsze porywy serca dziecięcego wiedząc, że już w najbliższych latach zostanie to wszystko zdeplane i zmarnowane. Wiedzieli o tym również rodzice waszych uczniów. Mieliście więc zawód ale nie było działania społecznego i nie było działania oświatowego.

W nowej Polsce, w ustroju, w którym człowiek nie jest już deptany przez wyższość i krzywdę społeczną „każdy talent, każde uzdolnienie... każdy szlachetny poryw se ca mają nieograniczone możliwości rozwoju i realizacji”.

Oto przez co Wasza szkoła stała się nową, tak jak nowym jest POM, o którym mówicie, że wnosi nową technikę i organizację produkcji rolnej, nowe możliwości życia dla chłopca i jego rodziny. Oto przez co, Wy w swoim zawodzie, uzyskaliście doniosłość społeczną, jakiej w dziejach naszego narodu „gdą dotąd szkoła podstawowa nie miała i mieć nie mogła.

Dziś wasza szkoła staje się upragnioną i potrzebną jak fundament i dla tych, którzy będą tworzyć nowe życie na wsi, na miejscu i dla tych, którzy w wielki plac budowy kombinatów i gigantów pójda bądź wprost ze wsi bądź poprzez wyższe uczelnie.

Dwa też przed Wami stoją zadania wobec tej dzieciarni, objawiającej pierwsze znaki uzdolnień, zamiłowań i porywów serca.

Jedno — to troskliwe i delikatne wspomaganie jej w zakorzenieniu się w macierzystym środowisku. Bo ter proces wrastania w gromadę, w rodzinny teren, jest również nowy i do żadnego z dawnych, opiekawych przez ludomanów i agrarystów — niepodobny.

Uczennica IV klasy szkoły podstawowej w Podwisoku (pow. Celno) — Natalia Jarosz, zobowiązuje się wyhodować i zakontraktować proszki, ponieważ — jak pisze — „chcę się przyczynić do wykonania Planu 6-letniego”.

Dzieci z Chociwola (pow. Starogard) zakontraktowały len z 1 ha dawnych nieużytków. Z powagą odwoły go do roszarni i z dumą przywoływały materiały na stroje dla artystów swego szkolnego teatru. Każdego września ciągną w różnych stronach kraju, do magazynów GS-ów najmłodszy plantatorzy i hodowcy. Pomidory, ogórki, niekóre owoce. — wszystko to pomie-



Foto: J. K. Maciejewski

ści się bez trudu na jednym wozie, ale nie o ilość przecież w tym wypadku chodzi. Szkolne ogródki, grządki, pieczolowice obrabiane przez poszczególne kolektywy klasowe, niewielkie poletki, kilka zagór buraków, i ha lnu — mają tu inną wymowę.

Obserwujemy tu politęchnizację nauki, jej ściśle powiązanie z życiem. Dziecko śledzi przebieg wegetacji określonych roślin, nabywa zręcznych umiejętności pielęgnowania lnu, buraka, czy warzyw. A poza tym zawstydzą niekiedy, a prawie zawsze aktywizuje starszych do wykonania obowiązków wobec państwa. Tym ekonomicznym zjawiskom towarzyszy odpowiedzialna naddobudowa. Dziecko idzie za produktem na socjalistyczny rynek, otrzymuje potrzebne szkole artykuły, uczy się pojimowania spójni ekonomicznej, poznaje istotę naszego handlu.

Ubiegły rok szkolny powitały dzieci ze wsi Wizny w łomżyńskim wypracowaniem pod tytułem: „Jak mój ojciec wywiązuje się z obowiązków wobec państwa”. Nie trudno obie wyobrazić zażenowania ojca, któremu własne dziecko dokładnie rozlicza plony i stwierdza w zeszycie, że nie wszystko jest w porządku. Przepentrowana, wywrócona — jak to mówią „na nice” — przez dzieci gromada Pawłowa (pow. Braniewo) odstawiła zboże w 120 proc.!

Sprawa obowiązków ojca wobec państwa staje się przedmiotem dumy młodego harcerza. Oto wyzwolone, nowe i szlachetne ambicje dzieci! Nauczyciel Wierzbicki z grom. Polchwa, pow. Puck wydał właśnie kolejny numer „Błyskawicy”, poświęcony skupowi zboża. Roznosią ją po domach harcerze, którzy współzawodniczą, walczą o upatrytycznienie rodziców.

Szkoła przesuwa wiek współodpowiedzialności społecznej za losy gromady z „zetemopowskiego” na „harcerski”. Od najmłodszych lat odbywa się „umiejętne rozbudzanie w młodocianych sercach i umysłach bezinteresowności i szlachetnej rywalizacji, „radości z pracy dla ogółu”. (B. Bierut).

Leć to wlaganie młodzieży w sprawy gromady trzeba upowszechnić i wydzwignąć na nowy, wyż-

szy etap, skąd będzie ona mogła sięgnąć okiem daleko poza rodzinną wioskę — na cały budujący się kraj.

Taki jest dziś charakter i kierunek wrastania w gromadę. W wyzwolonej ojczyźnie zwycięska rewolucja i budownictwo socjalistyczne pobudzają twórczo do tego nowego życia w rodzinnych stronach również nasze najmłodsze pociechy i szkolną młodzież. Szkoła stoi u początku tego procesu. Pracuje na „świeżej, płodnej i wdzięcznej glebie” i ma za zadanie „kultywować ją delikatnie i troskliwie”. Świeża jest ona przez nowe warunki życia rodziny chłopkiej, której nie grozi już głód, brak pracy, wyzysk i poniżenie społeczne. Świeża jest ona przez to, że nie podobna do dawnych pokoleń, ponieważ ma przed sobą rozwój, przyszłość, szczęśliwe jutro.

I dlatego trzeba ją „kultywować delikatnie i troskliwie”, w przeciwieństwie do warunków przedwojennych, kiedy szkoła pozbawiona była sprawdzianów skuteczności i celowości swej pracy. Kiedy praktycznie biorąc nie odpowiadała za los tego, kto wchodził w życie z jej wyposażeniem. Co to wyposażenie miało zaszczepić w chłopaku czy dziewczynie i na ile zaważyło na ich przyszłości? Od tej odpowiedzialności ustrój kapitalistyczny zwalniał nauczycielstwo, zwalniał, aby tym perfidnie ukryć politykę wychowania młodzieży w pokorze wobec ustroju nierówności klasowych, aby ukryć prawdę o warunkach przyszłego życia, w którym nawet to, co dała szkoła, musiało się okazać bezużyteczne.

Uczestnicząc w wielkim dziele budzenia miłości do stron rodzinnych, do własnej gromady nauczyciel staje się dziś działaczem tu, w szkole, wśród dzieci!

NIECH POZNAJĄ SWĄ GMINĘ

Ale dla osiągnięcia tego tytułu potrzebne są dwie nieprzerwane prace. Kontakt z gromadą i gminą oraz pogłębianie swej wie-

dy fachowej, rozszerzanie horyzontów swej kultury i politycznej świadomości.

Jakże dzieci mają pisać o ojcu w skupie zboża, o pomocy sąsiedzkiej, o obrocie towarowym swej gromady, jakże sporządzać bilanse w GS-ie, jak wylizac dniówkę obrachunkową w spółdzielni produkcyjnej, jak zakładać kółka Mieczynoskie, jak zapraszać na pouczające gawdy mistrzów urodzaju — gdyby nauczyciel, jak kol. Przeszło „nie utrzymywał kontaktu z rolnikami”? Czyżby więc znów... osobna praca społeczna nauczyciela? Tak, praca społeczna, ale nie osobna, bo ta, dotąd najbardziej rozpowszechniona, polegała w gruncie rzeczy na tym, że nauczyciel chciał zastępować aktywistów w gromadzie i gminie, zamiast wyrażać obok nich i wśród nich na aktywistów oświatowego.

Gromada i gmina to dla nauczyciela, inaczej niż dla rolnika, ale również wielkie pole różnych urodzajów i zbiorów. I on z chat, ze świetlicy, z Gminnej Rady, z GS-u, z POM-u, PGR-u, od aktywistów, skąd się da, przynosi do szkoły, dla swych dzieci co dnia te bieżące i wszechstronna politykę swego terenu. Bez tego tworzywa jego praca wychowawcza będzie fałszem i obłudą. Będzie martwa i formalna. Jeszcze za słabo wzię nauczyciel szkołę z instytucjami i działaczami gromady i gminy. A przecież są to nowe instytucje i nowi ludzie. Instytucje rozwoju dobrobytu i kultury na wsi, ludzie, którzy wyrosli ze wsi, których wiedza, zapal i poświęcenie obrócone są dla dobra naszej wsi. Dlatego wycieczki do POM-ów, GS-ów, do Rady Gminnej, do Biblioteki, do przodowników. — tę metodę pogładową wychowania do wrastania w życie terenu — trzeba rozwijać. Trzeba aby szkołę odwiedzały mechanicy, i traktorzyści z POM-ów, byrgadierzy z PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych. Niech dzieci ich posłuchają, niech dowiedzą się od przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, jak żyje gromada w zespole, niech o handlu powie im kierownik GS-u, o rozwoju „najbliższej ojczyzny” — przewodniczący GRN-u.

SAM PRZECIW SOBIE?

I sprawdzianem tego zapalu, a więc i głęboko politycznego wychowania przez szkołę, jest prawidłowość również odpływu do szkół, z których odbywa się bezpośrednio powrót na wieś i w teren. A w świetle tego sprawdzianu nauczyciel-działacz nie stanął jeszcze na wysokości zadania, mówiąc ściślej — stracił orientację i osłabił politycznie swą rolę wychowawcy. Cóż bowiem mówi statystyka? Oto np. procent przychodzących spośród młodzieży małorolnej na studia pedagogiczne spadł z 7,1 (1951 r.) na 4,4 (1952 r.) a podobnie jest ze studiami humanistycznymi, nie inaczej też z rolniczymi. Brak nauczycieli, bibliotekarzy, świetlicowców — to hamowanie rozpędu naszej rewolucji kulturalnej na wsi. Łuki w kadrach agronomów, zootechników i leśników — to osłabienie tempa gospodarczej rewolucji.

A sojusznicy robotniczo-chłopski, a spójnia między miastem i wsią, a gigantyczne budownictwo bazy przemysłowej w kraju obrócone są przeciw na rzecz całkowitego wydzwignięcia wsi z ponurej przeszłości zacofania i dopomożania jej w walce i pracy nad przebudową ustroju agrarnego.

Czyżby nie dość to rozumieć nauczyciele? Czyżby brako im odpowiedniego bogactwa wiedzy praktycznej i teoretycznej? Czyżby brako im czujności politycznej w wielkim dziele wychowania młodzieży, która odejże w kraj i tej, która zostanie na wsi?

Fakty są faktami. A mówią one o tym, że nauczyciel nie dość bije się o pogłębienie rewolucji kulturalnej na wsi. Bo nie bije się o wzrost kadr działaczy tego typu, do któ-

rego sam należy. Nie bije się o przysrost nauczycieli, bibliotekarzy, świetlicowców! A nie bijąc się dość silnie osłabia nie tylko autorytet własny — działacza oświatowego, nie tylko osłabia skuteczność walki jaką toczy armia nauczycielska na przestrzeni 40 tysięcy wsi w Polsce ale osłabia wiarę i nadzieję ludzi co do tempa przemian, jakie mają dać kulturę chłopu na wsi i lepsze życie.

Million ludzi pracuje na budowach tysięcy fabryk, które przemieniają nasz kraj z rolniczego w przemysłowo-rolniczy i w ten sposób dokonują tej wielkiej przemiany życia, jakiej wście oczekuje. „Bez tej rewolucji gospodarczej — mówił Prezydent Bierut — nie mogłoby być rewolucji kulturalnej, ale też nie zrealizujemy rewolucji gospodarczej bez rewolucji kulturalnej”.

DRUGA PERSPEKTYWA — W KRAJ

Drugie zadanie nauczyciela-działacza polega na wprowadzeniu dzieci w kraj, w nasz naród socjalistyczny, w nasze suwerenne państwo.

Praktyczne zadanie — pójdzie część młodzieży do szkół zawodowych, na uczelnie, pójdzie na „wielki plac budowy” do pracy przemysłowej.

Na tę drogę powinna już wprowadzać szkoła. Akcje werunkowe do szkół zawodowych i do fabryk dobiegają do naszych wsi rozmaitości ale zawsze czasówko. Trzeba aby już w szkole zostało rozgrzyzione tajemniczo a od wieku znane chłopom słowo „niznier”. Kiedyś był po prostu dla wsi jeden od wszystkiego „pan niznier”. Dziś trzeba dzieciom odkryć pod tym tytułem perspektywę tysięcy zawodów produkcyjnych. Trzeba ich wyobrazić, uzdolnienia i pierwsze porywy szlachetnego serca wprowadzić w nieznaną dotąd w historii naszego narodu gigantyczny rozwój inżynieryjny. Zapalcie ciekawości dziecięcą i młodzieńczą do szukania „swojego zawodu”, bez którego — niech im się zdaje — nie byłoby socjalizmu. Bo wraz z wielkim planem i wielką realizacją budowania Polski potężnego przemysłu i powszechnego dobrobytu, rozwijać się winna — a gdzie zaczynać jak nie wśród dzieci — duma z doniosłości i nieodzowności każdego zawodu, każdej starej i nowej gałęzi produkcji i nowej dziedziny pracy.

Statystyki wykazują, że odpływ do wszystkich typów szkół technicznych odbywa się mniej więcej prawidłowo i równomiernie. Wielka w tem również zasługa nauczycieli. Ale sukces niepełny. Bo sprawdzianem wychowania do sojuszu robotniczo-chłopskiego nie może być tylko wysiłka do produkcji przemysłowej. Pełny sprawdzian daje nam dopiero takie nauczanie, które potrzebę odpływu wyjaśnia jej celem — przyplwem. Rosnąca klasa robotnicza i rosnący przemysł to proces, który się dokonuje w nieprzerwanie rozwijającej się i potężniejszej spójni między miastem i wsią. Zatem częściowy odpływ młodzieży większej do szkół zawodowych i produkcji przemysłowej to nurt, który wraca i w powrocie wciąż wzbiera tą siłą pomocy technicznej i kulturalnej, która ma znieść przeciwieństwo między zacofaną wsią a przodującym miastem.

Jeżeli tego nie będą rozumiali dzieci, wówczas ta część, która ma wyjechać ze wsi, będzie ją porzucać w pogoni za oświeceniem i doradzie już lepszym losem. A my przecież oczekujemy od niej zapalu, jaki powinna wnieść z sobą do przemysłu, aby zmocnić walkę o przemianę i rozwój wsi.

Czas, żeby nasz nauczyciel przebudził się ze snu Don Kichota, biegnącego po wszystkich drogach w gminie. I żeby wybił z głowy zbalansowaną z innych instytucji swą śpiewkę (jakiej zresztą sam im nauczył): „Don Kichocie, bywajano wraz ku pomocy!”

Bo nauczyciel może im oddać pomoc kolosalną przede wszystkim na własnej bazie, którą tworzy najbardziej naturalne środowisko — chłopow-rodzow.

Przed wojną słabe były tradycje organizowania tego środowiska w Komitetach Rodzicielskich. Słabe, bo szkoła powszechna w warunkach nędzy i cotania się chłopstwa do gospodarki samooparowanej, niemal naturalnej, traciła przydatność dla miejscowego życia. Mnożyły się konflikty między rodzicami a szkołą. Dzieci zabierano z braku obuwia, ubrania, książek i z potrzeby wykorzystania ich jako siły zarobkowej. Tak rozmawiała nędza ze szkołą, milion zaś dzieci w okęgach bezskolnych nie dawal rodzicom okazji nawet do takiej rozmowy.

W świat szkoła powszechna równieź nie prowadziła. Masy chłopstwa pracującego, doświadczający tej prawdy z roku na rok coraz ostrzej. Jeśli szkoła nie wprowadzała dziecka z nędzą do „pańskiego” życia przez średnie szkoły — upadający zatem wszelkie powody dla interesowania się szkołą.

Taka przeszłość utrwalała tradycję dystansu między nauczycielem a rodzicami. Ale już pierwsze lata Polski Ludowej zburyły tę tradycję. Nie tylko namacalna Reforma Rolna i osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych pobudziły chłopstwo do pchania dzieci do szkół.

Pobudziły również wybuchłe w atmosferze rewolucji nadzieje i wiara w przyszłość, jakiej wieś dotąd nigdy jeszcze nie zamala.

Pierwsze z kolei lata Planu 6-letniego skonkretyzowały ostatecznie funkcję szkoły podstawowej — prowadzi ona na wielkie budowy poprzez wyższe szkoły i wprost ale również z perspektywą zdobywania wysokich kwalifikacji w samej pracy — prowadzi ją na wieś, w gromadę, gdzie stanął już na nogi mały i średni rolnik, gdzie walka z wrogiem klasowym toczy się o zbudowanie socjalizmu na wsi. W międzyczasie chłopstwo i politycznie w stopniu, jaki w miejscowym, codziennym życiu różni już je niestęchanie od dawniejszej, przedwojennej wiedzy i kultury. Szkoła zyskała więc także znacznie ze względu na „domowe” potrzeby. Szkoła pracuje dziś w kraju wolnym od analfabetyzmu. W gromadach, gdzie wyrastają chłopscy działacze społeczni, gospodarcy, polityczni, gdzie gazety czyta każdy chłop, gdzie każdy rok posuwa w technice i umiejętności produkcji, gdzie raz wraz dokonu-

(Dokończenie na str. 7)

PIOTR CHMURA

DWA SPOTKANIA Z GRABOWSKIM

PIERWSZY raz zobaczyłem go pod koniec listopada 1949 r., na wojewódzkiej naradzie w Rzeszowie, zwołanej w sprawie czytelnictwa książek w terenie. Kiedy wszedł na trybunę był już siódmym z kolei, czy dziewiątym mówcą. Ale kiedy przemówił, wszyscy się odwrócili.

„Zaproszony na naradę — zaczął — przesałem Komitetowi szczegółowy wykaz rozwoju czytelnictwa prasy i książek na mojej gminie Iwierzycze. Spodziewałem się, że podobnie postąpią inni delegaci. Oczekiwałem, że główny referat od tego zacznie i da nam w liczbach przybliżony obraz czytelnictwa wiejskiego w województwie. Jeśli zadanie to byłoby za trudne, jeśli zbrakoby dla wielu gmin danych, oczekiwałbym referatu, charakterystycznego powiatu, poprzez kilka lub chociażby jedną gminę.

Bo powinniśmy się podzielić doświadczeniami, jakże na pewno muszą być różne w każdym powiecie, skoro w dwu sąsiadnych gminach bywają inne. Przykładem niech będzie — moja gmina. Kto miał zacząć w naszej gminie i od czego rozwój czytelnictwa?

Podjęliśmy się tego zadania my, nauczyciele Ruszycy szkoły, osiem na gminę. To była pierwsza baza. Szkolne biblioteki dla dzieci i młodzieży. Plan był prosty. Od młodzieży szkolnej do starszej, świetlicowej! A przez jedną i drugą w gospodarstwie, w domy rodzinne. Nasze księgozbiory, na początku, w najlepszych swych pozycjach mogły dać i dały — jak to pokazała ankieta — „Robinsona Kruzo”, „Chate Wujka Toma”, „Bitwę pod Raszynem”, „Antka” i „Janka Muzkanta”. Takie młodzież zapamiętała jako pierwsze rzeczy z lat 1945—47. Nie mówię o stronie literackiej. Mówię o stronie wychowawczej, o budowaniu światopoglądu, orientacji w życiu i wiary w nie. To był słaby kapitał i słaby dynamit. Nadrabialiśmy wyjaśnieniami. Udało się je rozszerzyć na świetlice. Baza — powtarzam — było 8 szkół podstawowych i jedno Liceum Rolnicze. W budżetach szkolnych skapiliśmy na różne rzeczy, aby odłożyć na biblioteczki. Porozumiewaliśmy się wzajemnie i uzupełniali księgozbiory różnym asortymentem, prowadząc wymianę między szkolną książką. Szło nam o przy-

spieszenie dojrzałości u młodzieży, o jej szybki i skuteczny udział na froncie walki klasowej na wsi. Czy nam się udało? Osądźcie wy, koledzy.

Oto, gdy obecnie biblioteka gminna dysponuje 660 książkami, samo Liceum Rolnicze posiada ich 700. Połowa biblioteki — anowi paroletni dorobek samej młodzieży. Książki po książce zapracowywano w polu, na wsi, u chłopów. Można by o tych licealistach napisać powieść.

Kiedy wreszcie na Gminną Radę Narodową wniesiono projekt założenia gminnej biblioteki, na



Foto J. K. Maciejewski

pierwszym posiedzeniu projekt upadł. Jeszcze w Radzie siedzieli bogaci chłopcy. Jeszcze i tacy, co „głowie i serce noszą w brzuchu”, a także i ci, co patrzą „gdzie się z komina kurzy”. Odrzucenia projektu nie dokonano bezmyślnie. Wróg klasowy, dobrze był zorientowany w naszej akcji szkolnej. Wiedział, co to znaczy uruchomić bibliotekę gminną na przygotowanym gruncie. Co to znaczy wydać bitwę parafialnej bibliotece dla dorostych, dotąd bez konkurencji Argumenty wroga były zamaskowane: biblioteka pociągnie kosztą, które gmina będzie płacić. A „po reszcie”, kto chce czytać, niech się książkę kupi. To była cyniczna aluzja do naszych szkół i Liceum Rolniczego.

Następne posiedzenie Rady zostało obłożone przez młodzież ze

wszystkich szkół, z liceum, z kół ZMP i świetlic. Marszu na gminę przelękli się kulacy, choć był to tylko marsz dzieci i młodzieży. Ci radni, co patrzą „gdzie się z komina kurzy”, w mig chwycili nowy wiatr. Radni partyjni przypuścili ostrą szturm. Projekt został uchwalony większością głosów. Młodzież rozniosła po domach nazwiska oponentów. Powstał tumult w wsiach. Dalszy udział kulaków w Radzie Gminnej mógł być liczony już tylko na dni.

Uplynieło 10 miesięcy. Biblioteka gminna ma ośrodek centralny i sześć punktów bibliotecznych po wsiach. Wypożyczeń dokonano za ten okres 4.066. Ludność w gminie 8.000, jeśli odliczyć dzieci do lat 8-10 i stare pokolenie i przyjąć na pozostałych sumę 4.000, jeśli z kolei założycie, że przeciętnie każdą książkę czytały w domu 3 osoby, wypada w przybliżeniu 3 książki na jedną osobę. To przeciętna statystyka Rzeczywistość wygląda inaczej. Wielu jeszcze nie czyta, ale też wielu czytało dużo.

Co to jest ważne? Biblioteka parafialna od r. 1947 podniosła księgozbiór i ma prawie równy biblioteczki gminnej (b. par. 602, b. gm. — 661) — ale zapisanych w bibliotece gminnej jest dwa razy więcej, a wypożyczeń było cztery razy więcej — oto obraz nowego! Już po dziesięciu miesiącach widać obrzymie przegrupowanie sił na front postępu. Tak stoi sprawa czytelnictwa w naszej gminie. A jak stoi w innych gminach, w innych powiatach? Czego możemy się nauczyć z waszych, koledzy, doświadczeń?..“

„Klaskającego siarczyste sąsiada spytałem, kto zacytował ową mowę?”

Wiedział. To nauczyciel z Wiercan, 10 km od Sędziszowa. Syn najmity. Nazywa się Franciszek Grabowski. Matka była najmity, młody chłopak — 24 lat. Za czasów okupacji sprzedali go kulacy na roboty do Niemiec. wrócił w r. 1946 i po sześciotygodniowym kursie dla nauczycieli zaczął uczyć. Z awansu społecznego, partyjni. W przyszłym roku sam kończy maturę. O, z głową i zawzięty!

X

Drugą raz zobaczyłem go 1 września 1950 r. Jechałem samochodem przez Rzeszów na Debicę. Na tym

ku w Sędziszowie przypomniałem sobie nauczyciela z Wiercan. Ile to stąd? 10 km. Pogoda była piękna, późne popołudnie. Zawadzę, pogadamy. Szofer wrócił z rynku rozpromieniony. Bocznica, ale 6 km świetnej, nowej szosy. W tym roku ją wybudowali. Kiwał głową z uznaniem. I tutaj nowet robią? Pomknęliśmy. Nie było mi jednak pisane pogadać z nauczycielem. Trafiliśmy na drugą w tym dniu uroczystość. Rano — dzieci. Po południu — rodzice. Na ganku szkoły — stół, za stołem, jak mogłem się domyślać — nauczyciele i zarząd Komitetu Rodzicielskiego, przed gankiem rzędy ław, na nich starzy, na murawie z jednej strony dorosła młodzież, z drugiej szkolna. Pewnie będą popisy artystyczne. I były potem. Kiedyś zaś pojechał, akurat przed stoł na ganku wystąpił mój nauczyciel. Ot, masz — znów z referatem. Przycupnąłem na ostatniej ławie i słucham.

„Widzicie, jak obok nas, w gromadzie Będzin postawiono piękną szkołę jak z drugiej strony w Iwierzycach, w dawnym pałacu, pracuje z nami Liceum Rolnicze, sławne na okolicę. Wiecie, że w projekcie jest wybudowanie i w naszej wsi nowego, wielkiego gmachu pod szkołę. A to wam jeszcze powiem z radością, że na budżet naszej szkoły, na rok 1950 — 51, przeznaczono 900 tys. zł., kiedy jeszcze w ubiegłym roku tyle samo było na wszystkie szkoły w gminie, a w tym roku 5 milionów! Oto macie pierwszy rok Planu 6-letniego. (Okłaski).

A tyle będziemy mieć z naszych Wiercan za parę lat uczonych głów, ile ich nie zliczyłobyście razem od czasów ks. Stojalowskiego i bardzo uczonego pana Wysloucha, którzy nas tu przed pół wiekiem odwiedzali.

„Ale czy sądzicie, że tylko wasze dzieci uczą się i mądrzeją? I wy uczyliście się z tej samej wielkiej księgi postępu, którą otwierała w nowej Polsce ludowa władza, a jak to mówią nasi „wszystko widzący” kulacy — „dychtatura proletariatu”. Po raz pierwszy w historii naszej wsi użyliśmy w tym roku podczas żniw maszyn rolniczych. I spodobało nam się — pięćdziesięciu najbiedniejszych rodzin nikt nie zapłacił dłużej, niż w odrobek.

Wycie uchwalili założyć filię spółdzielni w naszej wsi. To znaczy, żeście poparli spółdzielnię, że ją uznajecie za swoją i że jej będziecie bronić. Nie będą kulacy smażyć naraz dwu pieczeni: okradać spółdzielnię po cichu, a głośno jej kompromitować. A pamiętacie, jak to było z elektryfikacją? Jako to kulaków wściekłość ogarnęła, kiedy od Sędziszowa w naszą stronę wybudowano w tym roku 6 km szosy i jaka radość, że jeszcze brakuje 4 km. Bo oni swoje panowanie i wyzysk budowali na naszym bezdrożu. Drogi, właśnie drogi boją się jak diabeł święconej wody. Bo droga — to znaczy, że partia będzie tu częściej. A oni wiedzą, że wynik może być jeden: od skarg i zażaleń pojedziecie pod przewodem partii do walki na miejscu, aż się będzie kurzyło, pojedziecie do budowania Planu 6-letniego w naszej wsi. A jest przecież o rozbudowywać. Mamy przecież w Wiercanach obfite źródło siarczane o wysokiej wartości. Może powstać nowe uzdrowisko. Mamy kamień wapnienny. Robiliśmy próby wypalania. W tym roku, duże i wysokogatunkowe pokłady. Ech, jak to puścić w ruch, jak uruchomić to nie tylko dla nas starczyłoby pracy, ale i dla okolicy. Tego się boją kulacy. Zduśliłi elektryfikację, bo od żarówek w domach mogłoby dojść do załączenia elektryczności z przewodu wysokiego napięcia do wiertarek siarkowych i wapniowych. Cóżby się stało wówczas z biedotą, z parobkami, z



Foto — CAM

komornikami? Cóż by się stało ze wsią? Osada przemysłowa? Robotnicy? Spółdzielnia produkcyjna? Wycie widzieli przed wojną psyk hr. Potockiego z Łańcuta, wielkiego buhaju, wielkiego krwiopiccy, ale sami dziś widzą, że male psieki tak samo gryzą i szekają, jak wielkie brytany kapitalu. Zdementowali naszego młynarza. Siedzi w kryminalu. Poszli do niego z naszej Gminnej Rady, aby podpisał papier na dzierżawę dla Samopomocy czy prywatną, byle młyn szedł i nas obsługiwał, a ten w więzieniu siedzi i co odpowiada — nie! Komu on tak mówi? Nam! Czy krew was nie zalewa? To tak z narodem postępować? Ale czego innego po nich się nie spodziewacie! Na siarkę oni porwać się nie mogli, za gruba rzecz, na wapno — rabunkową metodą — mogli, ale szosy im brakowało a w Polsce Ludowej wali się, że wy byście im „owiedzieli krótko: prywatnie! Nie pozwolimy! Dlatego woła bezdroża, a za tym bezdrożem głupi naród, co w siebie nie wierzy, dlatego i w swoją prostą roboczą i chłopską władzę też nie wierzy i tylko labiedzi i na zagonie życie upycha i kulakom służy i karku im nadstawia.

Zorganizujcie po wsiach zebrań, wyłońcie komitet i dobudujcie te 4 km. ruszcie elektryfikację, a już wasz Plan znajdzie z naszą siarką i wapnem. A wtedy... wahać się nie będziecie!”

Piotr Chmura

FRANCISZEK GRABOWSKI

B A B K A I W N U K

URODZIŁEM się w Nockowej, leżącej w debickim powiecie, w roku 1928. Rodziców pamiętam słabo, gdyż oboje jako wyrobownicy rolni, jeździli w rozmaite strony szukać pracy. A ja zostałem przy babce.

Przypominam sobie, że już od najmłodszych lat rwałem się do czytania książek. Wypożyczałem je, gdzie się dało. Babka mówiła zawsze tak: „czytasz te książki, ale chleba a nich jadać nie będziesz, nie myśl, że będziesz nauczycielem, Bogu dziękuj, jeżeli cię ktoś na służbę weźmie...”

Stare to dzieje, kiedy węższe gaszono małątką lampką naftową



Foto J. K. Maciejewski

w naszej chacie, żeby mniej kosztowało.

Dziś jestem nauczycielem i bibliotekarzem, pracuję w świetlicy. Zaczynałem wprawdzie jako inkasent podatkowy w Zarządzie Gminy Iwierzycze, ale zacząłem myśleć już wtedy o tym, jakby znaleźć możliwość dalszego uczenia się. Warunki takie znalazły się, gdy ogłoszono, że będą odbywać się 6-cio miesięczne kursy, przygotowujące nauczycieli bez cenzusu gimnazjalnego. Natychmiast zgłosiłem się na kurs i po egzaminie wstępnym zostałem przyjęty. Był to grudzień 1946 roku. Na kursie tym, odbywającym się w Łańcutu, miałem trudności, bo brakowało mi środków na utrzymanie się i opłacenie stacji. Początkowo jadło się Jątwa grochową, którą wespół z kolegami gotowałem, otrzymałem jednak później zapomogę, co mi umożliwiło ukończenie kursu. Zdałem egzamin z wynikiem bardzo dobrym, traktując to jako wielki sukces życiowy.

1 września 1947 r. stanąłem do pracy jako niewykwalifikowany nauczyciel w szkole podstawowej w Wiercanach, pow. Debica, była

to sąsiadująca z moją rodzinną wioską, w tej szkole pracował również mój kolega i imiennik, Stanisław Grabowski, który razem ze mną wziął się do pracy społecznej na terenie wsi. Rozpoczynając pracę nauczycielską miałem bardzo małe przygotowanie rzeczowe i metodyczne, bo nie można było zbyt wiele nauczyć się na 6-miesięcznym kursie. Równocześnie pod względem materialnym byłem chyba najbiedniejszym człowiekiem na wsi, w której uczyłem. Wystarczyło tylko powiedzieć, że chodzę w butach związanych sznurkiem i w spodniach, które sam ręcznie sobie uszyłem z koca. Jednym słowem byłem podobny do nauczyciela z „Antki” Prusa, tyle że koca nie miałem. Te warunki materialne jak i małe przygotowanie zawodowe spowodowało chyba, że do mnie jak i do kolegi mojego pewna część nauczycielstwa z terenu gminy ustosunkowała się nieprzychylnie. Ciężała jeszcze wtedy „hańba” niewykwalifikowanego nauczyciela, dlatego też miałem początkowo ogromne trudności w pracy. Zrozumieliśmy z kolegą Grabowskim, że drogą do uzyskania autorytetu może być tylko praca — uczciwa, rzetelna codzienna praca w szkole i w terenie. Być może, że siła i zażyłość dodawała nam świadomość, że jesteśmy przydatni społeczeństwu. I tak zaczęliśmy się doszkalać przy pomocy Komisji Rejonowej w Przemyślu, a jednocześnie postanowiliśmy założyć świetlicę, gdyż większość młodzieży po skończeniu swych zajęć wędrowała się po wsi bez celu. Początkowo do tej świetlicy nikt nie chciał przyjść, trzeba było znaleźć właściwą drogę do młodzieży. Wiedzy ogłosiliśmy, że na zajęciach świetlicowych będziemy uczyli modnych tańców i piosenek, zgłosiło się po takim oświadczeniu około 10 osób. Tego pierwszego wieczoru świetlicowego wprawdzie nie tańczono, ale pokazaliśmy niemniej interesujące rzeczy — gry towarzyskie, czytaliśmy ciekawe wyjątki z książek, były także „rzeczy ciekawe” (a więc wiadomości z różnych dziedzin wiedzy podane w sposób lekki), na koniec wspólnie śpiewaliśmy różne piosenki. Od tej chwili świetlica nasza zdobyła pewną popularność, przychodzili i starsi. Nasze zajęcia świetlicowe stały się systematyczne. Kosztowały one nas wiele dodatkowej pracy, gdyż musieliśmy dokształcać się w tym zakresie nie rezygnowaliśmy jednak ze wszystkiego, co by mogło zbliżyć wieś do nas. Organizowaliśmy przedstawienia teatralne, koło dobrego czytania i koło planowego czytania. Były to pierwsze próby w naszym województwie, tak że świe-

lica nasza zajęła drugie miejsce w powiecie.

Coraz bardziej nasze zajęcia świetlicowe przejąłam treścią polityczną. Po pewnym czasie urządziliśmy wieczorek literacki o temacie: „Chłop polscy w literaturze”, na który zaprosiliśmy chłopów z całej wsi i okolicy. Wieczorek ten stał się naszym wielkim sukcesem. Mogliśmy odtąd nie tylko wychowywać młodzież, ale i wpływać na starszych. Te nasze osiągnięcia nie wszystkim się jednak podobały. Proboszcz i dewotki robiły wszystko, by naszą pracę zohydzić. Często pod oknami świetlicy czyliły się skulone postacie starych babek, podstuchujące co mówimy i donoszące natychmiast księdzu. Zarzut główny polegał na tym, że wychwalamy rząd i Związek Radziecki i że chcemy młodzieży urobić na komunistów. Część rodziców zabroniła kategorycznie swym dzieciom przychodzenia do świetlicy. Na skutek tych trudności, jak i tego, że weszliśmy głębiej w pracę partyjną oraz na skutek braku pomocy ze strony władz szkolnych, przerwałem zajęcia w świetlicy, ograniczając się do pracy dorywczej na tym polu. Ale wszystko nas nie poszedł na marne. Część młodzieży została przez nas należąco urobiona. Zrozumieliśmy poza tym, że walka o kulturę w naszych warunkach jest zarazem ostrą walką klasową.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Z Cyklu: SONY I O LODZI

Wyciągi rowerowe w dniu dziecka

Jest dzień, kiedy w Alejach Kościuszki tramwaje

Suną wolno, ostrożnie, jakby szły na palcach.

Motornicy z poaróżnym w pogwarce się wdają,

Wbrew przepisom, i wodzi oczyma po malcach,

Co na jeźdź pod wujów-fachowców opieką

Na ściegłych od wichrów ziemi halajnogach

Z groźnym marszem na czole śmiało biją „rekord”,

Uczą się sztuki zwycięstw na późniejszych drogach.

Jest dzień, co do porównań mimowolnych zmusza

Między prostym dzieciństwem tych smyków i naszym

I malców z Cannes, co żebrzą pod palmą ratusza

I wyrostków z Phenianu, których zabił faszyzm —

Jest dzień, co dłoń twą wzywa, by rozładowała

Ku główkom dzieci naszych skierowane działa.

Życiorys nauczyciela

nien wyglądać pociągająco i przyjemnie, 2) czytelnik pierwszy raz wypożyczający książkę — powinien dostać taką, którąby go nie zniechęciła leżąc przeciwnie — wzbudziła w nim zainteresowanie i zapalała do czytelnictwa. Wnikało z te-



Foto J. K. Maciejewski

W międzyczasie dowiaduję się, że proboszcz puścił wersję, iż książki znajdujące się w bibliotece gminnej mogą „zepsuć” młodzież. Oświadczyłem jeszcze przy tym, że należy jedynie czytać książki opiewające pieczęć biskupa lub parafialną. Dewotki oczywiście rozdumuchały plotkę o rzekomej szkodliwości organizującej się biblioteki. Doszło do tego, że bardziej zapaleny zwolennicy księdza oświadczyli, że „spalono by bibliotekę, jeżeli nie mieściłaby się w prywatnym domu”. Tym razem nie zalamiałem się i zacząłem pracę prowadzić do końca. Porozmawiałem z dziećmi, kiedy przyjechał do mojej szkoły na lekcję religii. Rozmowa ta miała bardzo ostrą przebieg. Ksiądz wyperał się wszystkiego i obiecał publicznie oskarżyć tych, którzy mówili „takie rzeczy na niego”. Wtedy — myślałem sobie — to dopiero będzie heca, jak ksiądz zacznie krzyżować na dewotki. Ale oczywiście nie oskarżył nikogo, bo i jak mógł oskarżać siebie? Ta jednak rozmowa spowodowała, że ograniczyłem na jawne rozbijanie organizującej się biblioteki.

Mimo tego nadal nie miałem czytelników. Wtedy zastosowałem metodę popularyzowania książek poprzez młodzież szkolną. Dawałem dzieciom do domu najpiękniejsze książki, jakie były w bibliotece. Wykorzystywałem każdą sytuację, jakąś rozmowę, by pozyskać nowych czytelników. W mej pracy z książką przyjąłem dwie naczelne zasady: 1) sam lokal biblioteki wi-

go jednak, że należało dobrze poznać stopień odczytania i zainteresowania czytelników, by pozyskać jak największą ich liczbę, co mi się po pewnym czasie udało.

1 sierpnia 1950 r. zostałem przeniesiony na stanowisko kierownika szkoły w Brzeźnicy, gdzie jest spółdzielnia produkcyjna, ale niedługo tam zabrałem, gdyż zostałem powołany do pracy w Wojewódzkim Ośrodku Szkolenia Partyjnego w Rzeszowie jako kierownik biblioteki. Dnia 30 stycznia 1951 r. przed Komisją Rejonową w Przemyślu złożyłem egzamin dojrzałości, nie przestałem jednak na tym. Zgłosiłem chęć dalszego kształcenia się i zostałem przyjęty po egzaminie selekcyjnym na 5-miesięczny kurs przysposobienia zawodowego nauczycieli szkół średnich w Warszawie. Po powrocie z kursu zacząłem pracować w Liceum Pedagogicznym w Rzeszowie, a następnie przeszedłem na stanowisko instruktora pedagogicznego w Ośrodku Szkoleniowym Prezydium WRN w Rzeszowie. Jestem ponadto zocznym słuchaczem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie i w ciągu dwóch lat będę mógł uzyskać kwalifikacje do nauczania w szkołach średnich.

Często przypominam mi się moja babka — jakżeby nie chciała być powiódź, że szczęśliwy jestem, kiedy sam czytam książki i zdobywam nowych czytelników.

Franciszek Grabowski

IRENA KOZŁOWSKA

D Y R E K T O R N I C N I E C Z Y T A

Nowa Inteligencja

O TO mój bohater — Stefan Dżerski — dyrektor zakładów graficznych w Łodzi, 50-letni, średniego wzrostu mężczyzna, utykający lekko na nogę. Jest właśnie wieczór, umilkły maszyny, a i ludzie już dawno porzucili się do domów. Jeszcze tylko majster składa sprawozdanie, opowiada szeroko o stanie maszyn. Sprawa dla Dżerskiego ważna, gdyż opracowuje wynalazek, który ma podnieść produkcję książek, zmniejszyć zużycie smarów, przy równocześnie intensywniejszej pracy maszyn drukarskich. Jego konkurencja to ZMP-owcy Szczepan Gabrys i Andrzej Bartosiak pracują obaj nad podobnym usprawnieniem. To współzawodnictwo odmaladza Dżerskiego. Nie wychodzi przez cały dzień z zakładów rzadko kiedy przesiaduje w domu, nie pamięta kiedy ostatni raz miał w ręce książkę, trudno mu też opowiedzieć ostatni film, jaki oglądał, nie mówiąc już o teatrze.

A przecie kilkadziesiąt twardech lat, które ma już za sobą upłynęły mu niejako z książką w ręku. Czytał w najtrudniejszych chwilach swego życia, rwał się do wiedzy w nadziei na poprawę losu, a teraz — gdy został dyrektorem zakładów produkujących książki — zna je co najwyżej z okładek. I oto cały problem Dżerski nazwa go niemożliwą do rozwiązania sprzecznością pomiędzy obowiązkami dyrektora i działacza a potrzebą szerszego, pełnego kulturalnego życia. Czyżby tak było?

*

Niewiele pozostało mu wspomnień po ojcu — łódzki robotnik. Miał to jednak być człowiek wspólny, skoro macocha, zażarta dewotka, którą nawet ksiądz z parafialnego kościoła na Chojnach wyganiał, mawiała póki jej życia starczyło: — „dobrze mu tak, bo w Boga nie wierzył, ludzi do buntu podjudzał, judasz jeden, przeciw władzy i kościołowi”. Była to aluzja do wypadków z roku 1905 w czasie których ojciec Dżerskiego stracił, walcząc na ulicach Łodzi, rękę i nogę. Po dwóch latach umarł, pozostawiając, jakkolwiek pomocy.

Stefan do 20-go roku życia był analfabeta. Paradoksalna sytuacja. Oto ciężka osoba, na którą zapadł stworzyła okoliczności przeczucia ciemnoty. Był rok 1922, kiedy złożył chorobę leżał samotny w konórce, gdzie kiedyś w lepszych latach chowała nieżyjąca już matka — kozo. Nie widział początkowo czyje troskliwe ręce obmywały mu pokrytą strupami twarz. „Lekarzem” okazał się przyjaciel ojca — Szczepan Duda, były SDKP-owiec, robotnik od Gayera. Wziął się za jego wychowanie. Szczepan na Chojny i czytał rekonescentowi książki. Ale Stefan niewiele rozumiał. Wyobraźni sobie pokrytą pozostałościami po osiepi, zastraszoną i zrezygnowaną twarz, wyobraźni sobie chłopca i jejajecgo, posmieiwisko zdrowych wrostków przedmieścia. Gdy miał 13 lat spadł nieszczęśliwie z wagonu kolejowego, kradł węgiel, no i został „kulasem”. Wyobraźni sobie chłopaka, lekceważonego, nie przyjmowanego do pracy z powodu choroby no, któremu tylko latem udało się złapać sezonową pracę w cegielni, czasem u łowickiego brata. Wyszczony przez rodnictwo, pomiatany przez macochę za to, że podobny był do ojca, tym więcej gnął do Szczešana. Czym dla niego w tych warunkach była książka? Czy uczył się z niej wiary w przyszły ustrój sprawiedliwej społeczności, czy zbliżała go do realnego życia? Działo się wprost przeciwieństwo. Stefan odwrócił się od zycia, żył tylko z literackimi bohaterami. I tego stanu nie mógł przezwyciężyć Duda w czasie ich krótkiej znajomości.

Gdyś po pół roku wspólnych wieczorów na Chojnach Dżerski zapadł na jaglicę. Duda odwiózł go do szpitala. Odtań nie widzieli się już nigdy. Stefan leżał długo, nauczył się pisać, gromyził na szpitalnym łóżku listy do swego opiekuna. Któregoś dnia przyszli robotnicy od Gayera, zawiadomili o nrawdzim smutkiem, że Duda nie żyje i pozostawili mu po nim skrzynkę z książkami.

*

Na dawnym placu Leonarda (dziś placu Niepodległości) wystawał przez wiele lat każdego dnia stary Zyd. Kupował stare książki, sprzedawał młodzieży podręczniki, wypożyczał powieści za opłatą 30 groszy na tydzień od ciejszej książki, za grubszą płaciło się, bez względu na treść, 40 groszy.

W latach 1823—28 miał on stalego klienta — Stefana Dżerskiego. Siłytego, małowannego kolegi unikała rodzina i współtowarzysze. A książka to odzwierciedlenie życia. Jeszcze tylko pogłębiała. Czytał wszystko, co podsuwał mu „księgarz”, z jednym zastrzeżeniem — nie przyjmował sensacyjnej szmyry i romansów. Pragnął dostać w swe ręce książkę, o której niejednokrotnie wspominał mu zmarły opiekun. Ale Zyd rozkładał bezradnie ręce — nigdzie nie mógł znaleźć Czernyszewskiego „Co robić?”.

„Przedwiośnie” — to była pierwsza książka, która wywarła na Dżerskim poronujące wrażenie. Posałwały dyrektor wspominać dziś,

że czytał ją jednym tchem, przysiadł na krawężnikach ulic, zapomniał o konieczności wypoczynku po pracy. Podobnie było z „Faraonem”. Najważniejsze jest jednak to, że poczuł się członkiem wyzyskiwanej klasy.

Zyd z placu Leonarda polubił z czasem uporczywego czytelnika — nie tylko wynalazł mu Czernyszewskiego, ale — podarował podręcznik historii Polski Zakrzewskiego.

W życiu było gorzej. Życie nie darowało niczego, nawet niedzy. Nie było chyba takiego zajęcia, którego by nie próbował Stefan na przestrzeni ciężkich lat 1930—36. Był tragarzem na dworcu Kaliskim, malował wapnem domki na Chojnach, tłukł kamienie na szosach brał się po wsiach za murarke. Były to zajęcia dorywcze, trwały zazwyczaj tylko przez letnie miesiące a potem zaczynała się zwykła głódówka.

W tym właśnie czasie poznał historię narodu polskiego, przeczytał Gogola — „Martwe dusze”, „Wojne i Pokój”, Tolstoj, wreszcie — „Matkę” Gorkiego. Czas miał dożyć — uczył się rosyjskiego.

*

W roku 1936 otworzył drżącymi rękoma „skarby”, skrzynię z książkami pozostawionymi mu przez Dudę. Tak poznał Marksa i Lenina w wydaniu rosyjskim.

Dżerski twierdzi że dopiero wtedy wrócił do życia. W jego wyglądzie zewnętrznym zaszły poważne zmiany. Wzrok stał się ostry, poważny, wyprostował swą nieco przgarbnioną postać i trza było dobrze mu się przyjrzeć, by zauważyć, że lekko utyka na nogę. Robotników z Chojen najbardziej zdumiewał sposób wypowiedziania

się Stefana. Mówił jasno i zwięźle. Ludzi poczęli mu się pierwsi kłaniać, coraz częściej przychodzili po rozmaite rady.

Szwagier, kwalifikowany robotnik — związkowiec od Gayera wyrobił mu miejsce w fabryce Stolarowa. Stefan pracował w warsztacie mechanicznym ale nie zagrzał długo miejsca. Strajkował właśnie tramwajarze. Stefan przyłączył się do nich, pociągając za sobą kilku kolegów. Pracy nie przerywali, by-



Foto — CAF

wali jedynie wieczorami na wieczorach w remizie na Chojnach, lub przy ulicy Tramwajowej. Ponieważ strajk był kierowany przez KPP, Stefana usunięto — jako podejrzanego.

Ale ludzie z Chojen nie dali mu już stoczyć się na dno niedzy i głó-

du. Policzyli go na zawsze między swoich. Nieznany mu bliżej, robotnik od „starych Frunków” zawiadomił go o wolnym miejscu. I oto widzimy Stefana jako „furgonia-rza”, rozwołającego wózek przed go salach fabrycznych. U Frunków poznał Klarę Wojtasik — „flajerkę”, przygotowującą materiał na przedzę, swoją późniejszą żonę.

W tym czasie opuścił raz na zawsze nędzną komórkę na Choj-

Stefan nie wstąpił do PSS, mimo natarczywych propozycji. Z tego też powodu stracił pracę na rok przed wybuchem wojny. Po prostu pracodawcy związkowcy donieśli, że w jego mieszkaniu przebywali komuniści, którzy wyprawiali się do dalekiej Hiszpanii, by walczyć z frankistowcami. I to wystarczyło.

Okres okupacji, charakteryzujący Dżerski bardzo krótko. Czytał, nieustannie czytał książki z zakresu nauk ekonomicznych i politycznych.

*

Do PPR wstępuje w roku 1944. Od chwili wyzwolenia pracował jako robotnik w dziale mechanicznym zakładów graficznych. Nie chciał być — jak powiada — daleko od książek. Okres poprzedzający jego awans na kierownika produkcji i dyrektora był niesłychanie twórczy.

„Ozbawiony rzetelnego przygotowania, naukowo-technicznego, próbuje jako jeden z pierwszych w kraju pomysłów racjonalizatorskich, nie bacząc na to, że wędrują one zawsze do szuflady referenta, a następnie do kosza.

Rzeczywiście więc z powodzeniem walczył o kulturalne życie swoich zakładów pracy. Powstaje z jego inicjatywy koło samokształceniowe, liczące 60 osób, w wieku 25—60 lat. Wykładowi, profesorowi Uniwersytetu Łódzkiego Kurs obejmował nauki przyrodnicze, filozofię materialistyczną, literaturę polską i obcą. Po dwóch latach — 16-tu słuchaczy poszło do szkół dla dorosłych, 10-ciu na kurs przygotowawczy do wyższej uczelni.

Stefan dopomógł także w ożywieniu świetlicy zakładowej. Reżyserował sztuki w zespole dramatycznym, interesował się nawet

pracami sekcji baletowej, grywał w szachy, bywał w teatrach łódzkich i kinach.

W roku 1950 prowadził kurs języka rosyjskiego dla robotników. Po 6-ciu miesiącach awansował na kierownika produkcji. Tego roku powstaje przy zakładach klub racjonalizatorów do którego wstąpił świeżo mianowany kierownik.

*

Dramat rozpoczął się u szczytu sławy — nawpół żartobliwie powiada Dżerski. Siedzący w jego gabinecie Olbrzymie regaly wypełnione książkami. Nie przeczytał nawet ich dziesiątej części.

Na czym ob dramacie polega? Oto funkcja kierownika produkcji zaczęła Stefana tak dalece pochłaniać, że ośmiodziesiąt dni pracy stał się dla niego fikcją. Zakłady pracują na trzy zmiany, każdy z nich chce obojętnie dopilnować. Prowadzi sekcję szachową, bywa nieustannie w klubie racjonalizatorów, współzawodniczy z młodymi wynalazcami. Odbywa stałe narady w organizacji partyjnej — to znów z członkami Rady Zakładowej. Idzie nowy rok szkolny, jego zakłady muszą wykonać plan produkcji podręczników a nadwyżką a w ciągu roku pracy jest nie mniej. Na książki czeka rozbudowany w kraju czytelnik. To tylko on nie może ich czytać. Coraz częściej zdarzało się że zmęczonemu wy- padała z ręki ledwo rozpoczęta książka. Kiedyś jako robotnik wyjeżdżał z ekipami na wieś występował na akademiach w domach ludowych i świetlicach, bywał w kinach i teatrach.

Dziś weźmie do ręki co najwyżej książkę o sensoryjnej fabule, współczesnej literatury polskiej wcale nie zna.

Dżerska, która ukończyła niedawno kurs i jest wiorową, produkuje bibliotekarką, pogłębia dramat dyrektora ostrymi uwagami. Atakuje go jako żona i jako działacza kulturalny, aktywistę Ligi Kobiet. Bo rzeczywistość — odkał został w roku 1951 dyrektorem naczelnych zakładów — nie bywa prawie wcale w domu. Ten gawędziarz, który w ciężkich przedwojennych latach ze wzruszeniem opowiadał jej, prostej „flajercy” swoje wrażenia z przeczytanej lektury, proponuje jej dż cyk — jako jedyną rozrywkę. Nazwa „o „sublokatorom” i to przeważnie boleśnie rani Dżerskiego, tym więcej że jest podchwytliwe skwapliwie przez sąsiadki.

Dżerski nie jest szczęśliwy. Przebywa w zakładzie 10—12 godzin na dole. Pracownicy plany produkcyjne, prowadzi robotę administracyjną, dogląda na salach produkcji, wysiadyje na wszystkich zebraniach. Jest jednym słowem wszędzie.

Kiedy go pytam, do jakiej właściwie kategorii pracowników zalicza się, odpowiada ze smutkiem — „do zaoranych po uszy”.

*

Stefan Dżerski jest przedstawicielem naszej nowej, wyrosłej z ludu, inteligencji technicznej. Nie kreujemy go na stuporcetowego bohatera tej opowieści, gdyż popełnił pewien zasadniczy błąd, który powinien co rychlej usunąć. Obserwowaliśmy go w pracy przez szereg tygodni i z całą pewnością możemy stwierdzić, iż przyczyna jego „zaorania” nie są odgórne czynniki i nie partyjne instancje, chociaż Dżerski w nich właśnie upatruje przyczyn swego zwężenia się do czynności ściśle zawodowych. Twierdzi nianowicie, że go przeciążają prace.

Niedawno byliśmy świadkami gw-Hownego wybuchu ze strony jego żony — bibliotekarki. Zapisujemy jej słowa niemalże dosłownie.

— „Nie ma na ten brak czasu ratunku — powiadasz? A dlaczego ty za urzędniczym prowadzisz buchalterię? Im przecież w to graj? Zawsze się będą tobą posługiwać! Dlaczego planujesz za planistów? W ten sposób nigdy się niczego nie nauczy. Dlaczego prowadzisz każde zebranie, czy nie wierzysz, że tak jak ty wyrosło wielu innych ludzi którzy potrafili przeprowadzić szkolenie? Na zjazd przodowników wysyłaj swoich najlepszych ludzi, niech reprezentują zakład, niech się uczą sztuki przekazywania doświadczeń, młodemu ZMP-owcowi pozwól samodzielnie opracować referat tak jak ty sobie pozwolisz Partia, niech porządnie skrytykują planistów, to się nauczy dobrze przewidywać produkcję. Nie jesteś pracownikiem wszystkich działów, lecz organizatorem ich pracy”.

Dżerska — naszym zdaniem — odkryła błąd męża, odkryła błąd wielu innych mężów, których nasza rewolucja wyniosła wysoko, i a odpowiedzialna stanowiska, przesunęła w szeregi nowej inteligencji. Stefan przeżył wiele ciężkich lat. Uważa, że swoje dzisiejsze stanowisko zawdzięcza w dużej mierze splotowi indywidualnych, dotyczących tylko jego okoliczności. Tymczasem wyszedł na należne mu stanowisko w wyniku rewolucyjnego powszechnego procesu dziejowego. A za nim idą inni, którzy mu pomogą, by mógł nadal być w pełni kulturalnie.

Czy Dżerski dostrzeże i zorganizuje sobie przednie kadry zakładu? Wierzmy, że tak.

Witold Zalewski

Irena Kozłowska

WITOLD ZALEWSKI

P O W O Ł A N I E

(Fragment opowiadania)

M ATKA uparcie ciągnęła chłopca do plebanii. Zimą i latem chodziła w czarnej mantyle; z szarych, przyprószonych siwizną włosów unosił się zapach kadzidła, w oczach splukanych łzami po śmierci czworga zamorzonych dzieci iskry nieubłaganej wiary często topiły błękit żońcic odbijających pustkę nieba. Ojciec z roku na rok coraz głębiej zginał plecy nad kopytem. Siedząc na słoiczku pod oknem, od rana do nocy klepał młotkiem rozdeptane poduszki Narzędzia i fach przejął Wojciechowski od swego ojca. Pragnął je z kolei przekazać Henkowi. Ale musiał milczeć wobec nieugiętej woli żony, która jedyne odchowane dziecko ślubowała poświęcić służbie bożej. Przytem Heniek nie czuł do bratny żądne go pocłagi. Po ojcu odziedziczył baniastrą głowę na wlotkiej szyi, kurzą kłatkę piersiową i słabo wspomniane ramiona oraz nogi z rozepchniętymi kolanami. Miał więc typowe ciało szewca zniekształcone — istnienich przodków latami strawionymi przy niezdrowej pracy. Taki organizm szybko mógł się stać bezbronny wobec ataków gruźlicy, gościa, wrzodów żołądka — chorób chyhających w warsztatach ubogich rzemieślników. W ostatnim roku wojny kiedy Heniek miał już piętnaście lat, ojciec zaczął gwałtownie żółknąć; na lśniącym wilgocią czole, jak zwykła na obdarłym pniu, występowały pełne krople potu; co parę minut ojciec — przerywał robotę i stękając boleśnie kładł się na łóżku z dłońmi przyciśniętymi do brzucha. Miesiąc później przykrytego kraciastą pierzyną w upalny, czerwcowy dzień powieźli sasiadzi do szpitala. Heniek szedł obok wozu i oganiał brzoziową gałęzią granatowe muchy, siadające na zapadniętych woskowych policzkach.

Matce śmierć ojca nie wycisnęła łez z oczu; tylko twarz jej jeszcze bardziej stęzłała i pod świeżą warstwą smutku ploszyła ludzkie uśmiechy. Odtań na przekór zamiarom, związanym z Henikiem nie stało nie, oprócz wyraźnej niechęci samego „chłopaka do życia w sutannie, ale proboszcz, który był tej sprawy gorącym orędownikiem i załatwił przyjęcie kandydata do seminarium na specjalnych warunkach — Heniek skończył przedko szesć oddziałów — pocieszał matkę:

„Powołanie, droga pani Wojciechowska, przychodzi z czasem; cóż pani chce, nie każdy ksiądz rodzi się apostołem z gotową tonsurą na ciemniwi; kościół nasz katolicki stanowi świętą armię zbawienia i tak jak każda armia potrzebuje kapłanów kierowników... Gdybyśmy się oglądali tylko na tych, co od młodości idą za objawionym głosem... A wreszcie, w dzisiejszych czasach lepiej spełnia swe obowiązki ten kapłan, który nie odwraca się plecami do życia; nie jest łatwo przeznikać zawile „kana politycznej strategii... Duszpasterstwo więcej niż o zbawieniu istoty, musi widzieć o kierowaniu rzeczą, o prowadzeniu jej trudną drogą jedynie prawdziwej wiary katolickiej...”

Działo się to w pierwszym roku pokoju, obwieszczanego w Podłodowej strzałem, od którego padł,

czepiając się szkolnej ściany, nowoprzybyły nauczyciel, bezbożnik i komunista, zachwalałają nową władzę przed miejscowymi szewcami. Szesnastoletni Heniek nie przejmował się zbytnio odgłosami walki, wzburzającymi życie osady. Wyżywał się teraz na innym polu. Banda jego rówolatków dręczyła gospodarzy malpimi figlami. Wkrótce Heniek dał się poznać gromadzie kolegów jako najmądrzejszy i najzdolniejszy wykonawca przemysłowych znet. Dzięki drobnej postaci potrafił przesiłgiwać się tak wąskimi szczelinami, że zdawało się że nawet szczur tędy nie przeniknie. Pierwszy wdrapywał się na strzechy stodoł, żeby umieszczać tam kwaczącą kaczkę lub ogupiałą kozę, zamazywał smołą drzwi i okna mieszkań, a raz w marcu, kiedy puszczaly lody na rzecce, po pekających krach przedostawał się na drugi brzeg i na wysokim kopcu postawił zdjętą z kapliczki we wsi figurę świętego Antoniego. Dzięki lekkim nogom nigdy nie dał się złapać na gorącym uczynku. Większość jego sprawek szła na rachunek bardziej wpadających w oczy łobuzów Heniek zadawał się uznaniem w kole „dzieciaków Wszysko to robił po to, po to nieustannie ćwiczył odwagę, żeby choć częściowo zrównać się z silniejszymi kolegami.

Życie w Podłodowie, wzbudzone zakoficzeniem wojny, szybko cofnęło się do swojego lożyska i popłynęło leniwą strugą. Heniek chciwie chłonał teraz przenikające do osady wiadomości o bogatym, ciekawym życiu w innych stronach, w miastach, pełnych skarbowo pośród ruin, w odbudowywanych, kipiących wartką pracą fabrykach.

Wiosną czterdziestego szóstego roku odwiedził Wojciechowska jej brat — Antoni Gordiasz, wielki obiezwsiat i niespokojny duch, często wspomniany w rodzinie. Przed wojną uciekłszy z domu, przeżył parę lat w różnych fabrycznych miastach, potem przyciśnięty biedą wyjechał do Francji, tam szybko zadawał się emigrancim, ościstym chlebem; wojna — skoczyła go na robocie w Holandii; wieziony do obozu w Niemczech, uciekł z transportu i przeszedłszy Alpy, znalazł się we Włoszech, skąd po paru miesiącach, ukryty na statku, przypłynął do Algeru. Tu w szeregu francuskiej legii cudzoziemskiej walczył z Niemcami i Włochami przez czas kampanii afrykańskiej. Do kraju wrócił jednym z pierwszych transportów i osiedlił się w małym miasteczku dolnośląskim na samej granicy czechosłowackiej.

Heniek nierzaz myślał o wuju Gordiaszu; wyobrażał go sobie jako „romnego chłopca, przynajmniej dorównującego Klimkowi, jako groźnego, wniecającego lek, siłacza. Tymczasem Antoni Gordiasz, nie będąc ułomkiem, nie wiele wystrzał ponad przeciętny wzrost i dlatego w pierwszej chwili rozczarował siostrzeńca. W ogóle nie budził żadnych obaw, przeciwnie, jego wyupkie oczy, w których bez przerwy niemal świeciły iskiarki wesołości, zjednywały mu szybko ufną sympatię. Po jednym dniu Heniek przylgnął do wuja całym

sercem. Chciwie chłonał pełne blasku, ruchu i życia opowieści ze świata. Zwykłe na ich dnie, jak białe ziarno nasienia, głęboko we wnętrzu pięknego kwiatu, kryła się jakaś prawda, jakaś nauka, którą wuj Gordiasz wyluskiwał i nieznacznie podsuwał słuchaczom. Heniek jednak nie przejmował się sensem wydarzeń, urzekalo go samo bogactwo przygód, ich porwywająca barwność, i to mu wystarczało. Połowa opowieści poświęcono była Zawadowowi, miejscowości, w której wuj Gordiasz osiedlił się po powrocie z zagranicy. Było tu i o wielkiej fabryce włókienniczej (gdzie Gordiasz pracował jako majster — na kłalni) i o ludziach, ściągających z całej Polski, i o asfaltowych, wysadzanych jablońnicami ulicach, o mieszkaniach lśniących czystością, jak wnętrza blaszanych puszek, i wreszcie o historii tamtych okolic, którą Gordiasz poznał z grubej, niemieckiej ziemi.

„Za naszego księcia Bolka żył tam polski naród. A w wieku czterastym knechty pruskie zdradę brały nasze zamki; księżniczka świetlana rzuciła się z wysokiej wieży na kamienie. Są tam takie miejsca... Potem w piętnastym Huis polamał żęby na skałach... Naród się wykrwawił...”

Heniek miał pełne uszy dzwiecznych nazw, przed oczami przesuwały mu się kolorowe pochody o wiele wspanialsze niż na procesjach Bożego Ciała w Łowiczu.

„Tulali my się po świecie, tulali... — Kiwał głową wuj Gordiasz.

„A teraz... — patrzył rozognionym wzrokiem — fabrykę mamy... Trzeba pokazać przed narodem...” Heniek słuchał, cicho posapując z przycięcia. Za oknem wisiał nierzuchomo białoszary, jakby zanurzony w rozwodnionej serwatce, marcowy dzień. Od czasu do czasu ostry dreszcz — zimny podmuch przesyłał powietrze; z wisińowych różóg wiatr otrząsł przezrocyste krople, otwiana woda kaluż mar-szczyła się w drobne faldy, nagie smoliste gałęzie przydrożnych topoli szumiły jękliliwie; kawałek naderwanego blachy, zgrzytając huśtał się, pod okapem. Jak gdyby pierwszy raz zobaczył Heniek drogę przez rodzinną wioskę. Pusto było w jednej i w drugiej stronie, tylko stado gęsi białe na błotnistej rozcięczy. W głębokich koleinach weszła żółta pianina. Splachcie brudnego, pokrytego szarym nalotem śniegu, linały na dnie głębokich dołków.

„A góry... — ciągnął wuj Gordiasz — góry u nas pod obłoki wyrastają. Pół dnia na taką wdrapujesz się i szczytu dostać nie możesz... A wejdziesz, spojrzysz w dół — w głowie wiatrak, sady, pola wszystko zalane słońcem; słońce u nas świeci nie tak, jak tutaj... A skały jakie ogromne. Lite: taka góra — jedna olbrzymia skała...”

Na drodze, zza zakrętu wynurzył się wóz, leniwie mieszający kołami osłizłe blocko. Mysia kobkiva Warpasów po pełny grzęzła w rozkiszłej bryli, sennie chwiała opuszczonym łbem, a porwy wiatru rozwiewał na bok grzywe i wylinały ogon. Stary Warpas, nakryty workiem drzemał, utknawszy długim nosem w czarnych kudkach kożucha.

ZOFIA BARCHANOWSKA

ŻNIWA 1952 ROKU

W LIŚCIE, wysłanym do Piotra Kluńca, malorolnego chłopca z gromady Kleniewo (pow. Koscian) postawiliśmy pytanie: Jaką różnicę widzi między pierwszymi żniwami po wyzwoleniu a żniwami w r. 1952? Kluńc odpowiedział krótko. Różnica są dwie: jedna — żniwa teraz są zorganizowane. To znaczy, że jest plan wykonania zbiorów, uwzględniający porę i długość trwania sprzętu, wykorzystanie maszyn, polowe prace późni-



Foto — CAF

wne, omloty. Druga — żniwa odbywają się zbiorowym wysiłkiem gromady.

Kluńc utrafił w sedno. Te dwie sprawy: organizację żniw i społeczny stosunek do nich, musimy mieć stale na względzie, oceniając przebieg tegorocznego sprzętu zboż.

Leży przede mną około 20 listów chłopskich z różnych stron kraju. Prosił ich autorów, aby napisali do nas, jak przeprowadzili żniwa w swych gospodarstwach. Lecząc w odpowiedziach uderza jedno, że chłop pisze najpierw o całej gromadzie, a dopiero potem z czołoci wyszukuje własną gospodarzkę i własną rodzinę. Gdybysmy z listów wycieli to tylko, co odnosi się do jednego gospodarstwa chłopskiego, n.e. byłibysmy w stanie zrozumieć prawdziwości i związków określających przebieg żniw w r. 1952.

Oto, w jaki sposób ujawniają się te związki.

„Sąsiad poszczególnych gromad zrobili wykazy potrzebujących pomocy w czasie żniw. Prezydium GRN sporządziło listy, kto ma świadczyć pomoc, jakiego rodzaju, przez ile dni i na czyją korzyść. Ci, którzy mają świadczyć i ci, którzy potrzebują pomocy, dostali imienne zawiadomienia, ponadto plany pomocy sąsiedzkiej były wywieszane u sołtysów“ (Chrzanów pow. Kraśnik).

A więc akcja zaplanowana, realizacja wcześniejszego przemyslenia przyszłości.

„U nas żniwa odbywały się zbiorowo, bo jest tylko 39 koni na 160 numerów. Grupy chłopów przechodziły po kolei od gospodarstwa do gospodarstwa“. Jaskółka Józef (Szczepanów, pow. Krosno). A więc wspólna troska, bez której przy 75 proc. gospodarstw bezkonnym trudno byłoby mówić o terminowym sprzęcie.

„Sąsiad sąsiadowi pomaga: dziś ja u ciebie, jutro ty u mnie i tak robota idzie sprawnie...“ Pelniko Franciszek (Przytecko, pow. Strzelce Krajeńskie). A więc wprawdzie żywiołowość, dowolność, ale już wspólne podejście do zadań, by „robota szła sprawnie“.

„Zorganizowano zetemowskie brygady żniwne. Młodzież pomaga tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy, jak np. ob. Czerwińskiej, wdowie po zamordowanym działaczu demokratycznym...“ Chojnowski Stefan (Ciemniewko, pow. Cieluchów). A więc włączenie również do akcji młodzieży wiejskiej, która zjechała się ze szkół i przemysłu na urlopy i ferie.

Te cztery formy: planowa pomoc sąsiedzka, sprzęt zespołowy (w gromadach gospodarujących indywidualnie), pomoc zorganizowana, młodzieżowe brygady wyodrębniają się w listach zupełnie wyraźnie. Zadajmy sobie pytanie, dlaczego właśnie w tym roku ujawniły się specjalnie silnie te formy? Przemyślanie, jakim podlega kraj, wymagają nowych form pracy, rozwijający się przemysł wyciąga coraz więcej ludzi ze wsi, w związku z tym wystąpiły pewne trudności z siłą roboczą, ale z pomocą przychodzą — maszyny.

Jaka tu kalkulacja? Przy sprzęcie sierpem potrzeba na 1 ha 10 dniówek żeńców. Kosiarz kosi od 2—3 arów na godzinę. A teraz maszyny: żniwiarka, którą obsługuje jeden człowiek, zetnie w godzinę od 25 do ponad 35 arów. Jeszcze większa oszczędność robocizny ujawnia się przy snopowiązałce — odpada robotnie powróceł, zbieranie garści, wiązanie snopów.

Tegoroczne żniwa przebiegają pod znakiem maszyn. W każdym liście chłopci podają liczbę żniwiarek, kosiarek, snopowiązałek — prywatnych i z GOM-u, pracujących na chłopskich polach. „W naszej gminie mamy o połowę więcej maszyn, niż w zeszłym roku“ (Kowale, pow. Olecko). „Nikt już nie uważa, że straty przy żęciu sier-

KRZYSTYNA PAŁYS

DR BAŁASZ NIE JEST SAMOTNY

DLACZEGO uciekali stąd jak z zapowietrzonym miejscowości? Doktor Bałasz nie odpowiada przez dłuższy czas. Zastanawia się.

— Nie byli to ludzie źle woli, ani też niechętni, ale wszyscy nie mieli przygotowania do samodzielnej pracy. Każdy z jego poprzedników uważał szpital w Siedliszcu za punkt przesiadki, ot czuł się jak w poczekalni dworcowej. Praktyka w szpitalu była dla nich niemym etapem, który starali się skrócić w miarę możliwości.

— Pewnego jesiennego dnia, po zbadaniu chorej i wytlumaczeniu sąsiadce, jak ma się z nią obchodzić, doktor Bałasz każe się wieźć czym prędzej przed Gminną Radę Narodową w Siedliszcu. Przypomniał sobie, że odbywa się tam zebranie sołtysów. Zeskakuje z wozu, wchodzi na salę i siada w obłokach machorkowego

mięskania służbowe na poddaszu, a właściwie na drugim piętrze. Z początku kobiety przychodziły niechętnie, bo ktoś je straszył po wsiach wysokimi opłatami. Skoro jednak pierwsza, druga i dziesiąta zapłaciły tylko część kosztów — przybywało po kolei na kilka dniennie z Siedliszcza, z sąsiednich gmin i powiatów. W lipcu b. r. wpisano uroczyste do księgi datę przybycia na świat 700-nego z kolei obywatela.

Izba porodowa w porównaniu ze szpitalem — to wspaniały gmach. Oba budynki łączy starannie utrzymany ogródek, oddzielony ulicą od wertepów, oglądanych z zainteresowaniem przez lekarza w pierwszych dniach pobytu w szpitalu. Pokryty lejami i dolami plac, był niegdyś placem ćwiczeń dla „strzelców“ Piłsudskiego, później kopalnią piasku, a w końcu miejscem grzebania padłych zwierząt. Pocziwi obywatele Sie-



Fot. — K. Wierucki

dymu, starając się dostrzec ludzkie twarze. Po wyczerpaniu porządku obrad zabiera głos i przystępuje do spraw: Pałac w Chojnie — dziesięć szkół — musi być rozebrany, gdyż po pierwszym deszczu ścian mogą runąć na głowy dzieci. Nawet poutrze może być za późno, a każdy dzień zwłoki może kosztować ludzkie życie. W krótkim czasie nie zrobią tego chłopci z Chojny, musi im pomóc cała gmina. Jeśli sołtys potrafił przekonać ludzi w swoich gromadach, żeby w czynie społecznym zwięźli cegłę i gruz do Siedliszcza, on podejmuje się rozpoczęcia budowy izby porodowej, żeby raz na zawsze żony chłopów miały zapewnioną opiekę i pomoc lekarską, żeby mogły przeżyć ciężkie dni pod jego dozorem.

Chłopi po raz pierwszy zobaczyli lekarza troszczącego się o ich sprawy. Dotychczas zwykle szukali jego poprzedników sami. Z oczu mu dobrze patrzyli, słyszeli że niejednego wyleczył. Doktor Bałasz spałak tylko jednego oponenta na zebraniu zwołanym później w Chojnie.

— Niech cegły i gruz woźą ci, co mają młode żony. Mnie i mojej starej takiej izby nie trzeba, prędzej przydałyby się cegły deski na trumnę, bo coraz bliżej człowiekowi do rozstania z tym światem — niby żartował.

— Zgoda, ale pamiętajcie, biore wszystkich tu zebranych na świadków, że jeśli stracie ochotę do oglądania tamtego świata i przyjdzie do mnie, żeby wam pomóc, to przypominę wam co powiedzieliście przed chwilą — odpowiedział doktor.

W izbie zahuczało od śmiechów. — Nie przechytrzcie, stary, doktora, bo nie znacie ni dnia ni godziny, w której będzie wam potrzebny.

W ciągu tygodnia 450 chłopskich wozów z całej gminy zwoziło cegły i gruz na plac budowy koło szpitala. W grudniu 1950 roku położono już fundamenty i prowadzono budowę z oszczędności uzyskanych w szpitalu. Plany i kosztorysy opracował sam doktor przy pomocy architekta powiatowego. Po miesiącu stały już ściany i położono więźbę dachową. Gdy cieśle zatknęli na szczytce wiechę, zabrakło gotówki. Pomoc mogła dać tylko Centralna Poradnia Macierzyństwa i Zdrowia w Lublinie, tam też wysłał doktor pismo, w którym każde zdanie było wolaniem: Dajcie pieniądze!

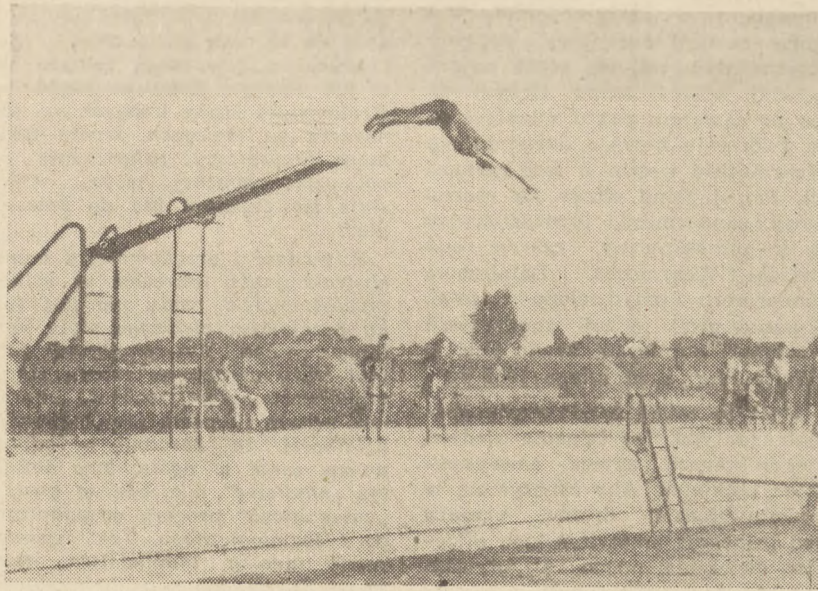
W Lublinie nie bardzo wierzyli w powodzenie przedsięwzięcia lekarza z Siedliszcza i wysłali na miejsce komisję. Wrócił wtedy dr Mazur z kolegą i melduje: Stoi w osadzie izba, trzykrotnie większa od szpitala. Po wykończeniu będzie to najokazalszy gmach w Siedliszcu, jeśli sędzić podług tego, co widzieliśmy w stanie surowym. Formalności przy przekazywaniu pieniędzy zajęły pewien czas. Roboty wewnątrz budynku prowadzono w zimie i wczesną wiosną. Doktorowi przybyło wtedy nowe zajęcie — podróże do Warszawy, Katowic i Krakowa w poszukiwaniu za potrzebnych materiałów, a oprócz tego omawianie z majstrami jak mają wykonać jego pomysły racjonalizatorskie. Chciał mieć wszystko takie, jak sobie wyobrażał: ściany wykładane glazurą berlińską, pryznicę z gorącą i zimną wodą itd. I wszystko tam teraz jest — ściany wykładane kafkami z NRD, wielki zbiornik wody na strychu, artyzjska studnia z motorem o elektrycznym napędzie, piec kaflowy z wpuszczonymi wewnątrz rurami w łazience,



Fot. — K. Wierucki

dliszca z całkowitym spokojem porzucali podłogę w oddaleniu kilkudziesięciu metrów od okien szpitalnych, a na co nie mógł spokojnie patrzeć młody lekarz. We wrześniu tej sam. j. jesieni był na zebraniu w Gminnej Radzie Narodowej świadkiem, jak zaci przedstawiciele społeczeństwa głosili się, jakim sposobem uczcić rocznicę Rewolucji Październikowej. Występuje wtedy z projektem zniwelowania w czynie społecznym owych wertepów i założenia w tym miejscu parku. Ponieważ nikt nie zgłosił innego projektu — uzyskał ogólną zgodę zebranych.

Ludzie się jakoś nie spieszyli do pracy w zanieczyszczonych dolach. Doktor pierwszy zebrał pracowników szpitalnych i wyruszył z łopatom i niwelacją teren. Po kilku dniach przyłączyli się do nich pracownicy GRN-u, potem młodzież szkolna, kierownicy sklepów i urzędnicy z gminnej spółdzielni. począł w komplecie, przymaszerowała dziarskim krokiem milicja a straż pożarną



Fot. — K. Wierucki

przyprawił sam komendant, mimo że w kopaniu przeszkadzał mu trochę zanadto wydarty brzuszek. Niektórzy nawet twierdzili, że po kilku tygodniach pracy co tęższe figury z osady nabrały lepszej linii. Zima była tego roku lekka, tak że do stycznia codziennie około dwustu ludzi nabierało przy kopaniu dobrej kondycji fizycznej. Potem przyszła odwilż i doktor wszedł w konszachty z kobietami z izby i szpitala, a miał już u nich pewną popularność. Wykopywały baby po wsiach zbývające drzewka, rzucały w dni targowe na wóz i kazały mężowi wieźć do szpitala. W lutym podczas drugiej odwilży obywatele Siedliszcza w wieku od lat 14 do 60 zasadzili te drzewka na różnym terenie. Kiedy pękły na nich pierwsze pąki, w Gminnej Radzie Narodowej rozległy się na jednym zebrań huczne oklaski. To przewodniczący prezydium GRN-u wyleczył w sprawozdaniu jak na dłoni, że na samej tylko niwelacji parku zaoszczędzono milion złotych (plano w tedy jeszcze stara waluta), a radni dawali wyraz swemu zadowoleniu z osiągnięcia osób „odpowiedzialnych za gospodarkę majątkiem społecznym“ w osadzie.

— Wszystko jedno, ma ten doktor głowę na karku — przyznawał zgodnie. Jedni z miłą pogodną, głośno i szczerze, drudzy trochę półgębkiem z kwaskowatym uśmiechem. Entuzjazm na razie był powszechny i mło-

dy lekarz korzystając z niego podsuwał radnym myśl: Odstąpić torfiaste łąki za młodym parkiem na rzecz Ludowych Zespołów Sportowych. Sprzeciwiać się tej propozycji nie było powodu — gmina i tak ma kłopot z administracją nieużytków, a dochodu żadnego.

Szło wtedy już ku wiosnie i należało pomyśleć w jaki sposób uczcić święto 1-Majowe. Obywatele Siedliszcza czuli się nie gorszymi obywatelami od tych w Warszawie czy Lublinie. Czyż nie mieli już za sobą doświadczeń w pracy społecznej na terenie parku? Upięra się doktor i kładzie każdemu w uszy, żeby zakładał stadion sportowy i budował basen pływakki na tych gruntach darowanych LZS-om. Niech będzie basen!

Wybory do komitetu budowy basenu odbyły się przy akompaniament burzliwych oklasków, grzmiących przy każdym wymienieniu nazwiska. Weszli do niego ludzie najpopularniejsi w Siedliszcu — sekretarz Komitetu Gminnego PZPR, przewodniczący GRN-u, sekretarz i przewodniczący LZS-u. Na czele postawili doktora, bo już pokazał co potrafi i do sprawy palił się najwięcej. Najważniejsze, że umiał zawsze zakreślić, gdzie trzeba, aby były subwencje.

Pieniądze oczywiście znalazły się. Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej wypłacił trzydzieści tysięcy złotych i dostarczył planów. Rozpoczęło się kopanie dołu pod basen. Tym razem znów pierwsi przyszli ludzie z gminnej spółdzielni, oni zawsze znajdowali czas na roboty społeczne. Nie mogli dorównać robotnikom rolnym z PGR-u w Mogielnicy, chociaż tamci musieli każdego dnia zrobić cztery kilometry drogi z łopatom na ramieniu. W śmiganiu łopatą mógł się z nimi równać tylko jeden człowiek w Siedliszcu — sam doktor. Ten to miał siłę! A wprawy jakżeż nie miał nabrać, kiedy każdego dnia przed wieczorem stawał się regularnie i z miejsca brał tempo, że kopac koło niego wazyły się tylko młodzi albo ci z Mogielnicy. Znali już jego punktualność i gdy ktoś dostrzegł pierwszy, że idzie pomiędzy drzewkami młodego parku zaraz meldował: Doktor już idzie, piąta dochodzi.

Do lipca wychodziło co dzień na łąki około dwustu ludzi. Nadeszła jednak chwila, w której cały zapal ludzki zaczął gasnąć. Natrafiono pod warstwą torfu na margiel, łopata już nikt nie mógł dać rady, trzeba było walić kilofem.

— Ską, wzięć tyle kilofów? — Iamał sobie głowę doktor.

— Skąd brać tyle siły, żeby rozbić taki kawał skały? — cicho pytał sam siebie lekarz, głośno tego powiedział doktorowi nikt jakoś nie miał odwagi. Przychodziło teraz mniej ochotników do pracy, ale każdego dnia jeszcze ktoś grzebał w marglu, aż do wyjazdu lekarza na urlop.

Pierwszego dnia po powrocie, zaraz po badaniach chorych w szpitalu pobiegł dr Bałasz za park. Rozgrzeba-

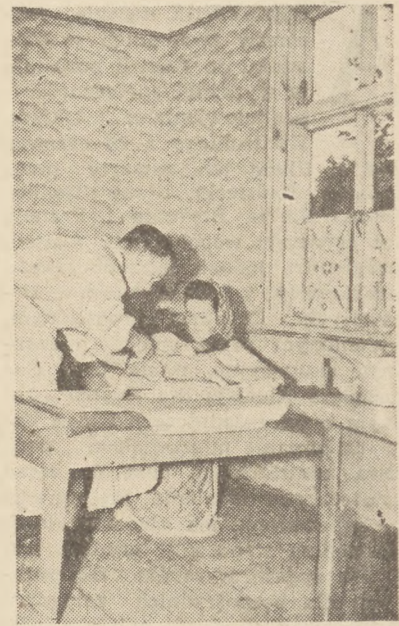


Foto — CAF

niż w projektowanym basenie, lekarz ścignął na łąki pod Siedliszcem geometrów z wydziału melioracji PRN-u w Chelmie. Przyjechali, jeden omal się nie utopi w bagnisku, ale wykazali bezpodstawność wywodów jego przeciwników. Nawet i to nie pomogło.

Lekarz zwrócił się o pomoc w kopaniu rowu do Mogielanki do chłopów z całej gminy. Przyszli zaraz po żniwach, bo pamiętali, że nie na darmo wozili gruz i cegłę na budowę izby porodowej. Cztery tysiące dni roboczych udało się na dzień tego rowu, który ciągnęli przez dwa kilometry przez mokradła aż do basenu.

Przed przyjęciem mroźnych doktor decyduje się płacić ochotnikom za roboty ziemne z otrzymanych na budowę funduszy. Zgłasza się wtedy do niego jedyny kandydat do tej pracy — bezrolny chłop Zygmunt Grzesiuk. Obaj z doktorem biją kilofami w margiel i wywożą skruszoną skałę taczkami. W trzecim tygodniu przychodzi drugi robotnik — malorolny chłop Wilgocki. Potem trzeci — Rywucki, najstarszy majster murarski w Siedliszcu. Przyszli na nad basen w chwili, gdy zajeżdżał samochód z cementem. Przypatrzyło się robocie z boku kilku dryblasów z rękoma w kieszeniach, a na propozycję doktora, żeby pomogli wylać, wymienili taką sumę, że ten nie dał odpowiedzi i wskoczył na platformę. Sam rozpoczął wyladunek.

Widział to wszystko Rywucki i podszedł do samochodu.

— A może przyjełbyście do roboty starego majstra, doktorze? Na pieniądze poczekam, a do betonowania przydam się. Tamci chcą dużo pieniędzy a ja wezmę co dacie. A z tym żelastwem to najlepiej jak pojedzie do Gminnego Ośrodka Maszynowego. Jest tam taki majster Blomka, on też nie będzie o grosz pilił.

Oczy doktora, rozbiły się. Miał nowego sprzymierzeńca. Jeszcze tego samego dnia utworzyli z starszym majstrem i Grzelakiem brygadę betonarską. Pracowali aż do nastania mrozów. Na zimę spuścili wodę z kanału, żeby ochromić świeży beton przed pęknięciem. Na przypadkowe łodowisko ściągali z tyżwami młodzież z całej okolicy, a GS i szpital zaopatrzone na łód na całe lato.

Z nastaniem wiosny wodę spuszczone. Pół osady wyszło nad basen łowić ryby w sieci, które zakradły się tutaj z Mogielanki. Kobota uszyła z początku ostro, bo ludziom trzeba było pieniędzy. W kasasa komitetu budowy pieniądze topniały z dnia na dzień. Opozycja poinformowana dokładnie o wszystkim rozpuściła nową wieść, żeby odstraszyć robotników: Doktor nie ma prawa w tym roku kończyć basenu, ponieważ nie ma kredytów. Doszło do tego, że lekarz pożyczł pieniądze na własny rachunek i płacił ludziom licząc z góry na nową pomoc. Na szczęście w okolicznych GS-ach nie solidaryzowano się z opozycją i nadsyłano w terminie zamówione jeszcze w zimie: cement i żelazo.

Doktor zapamiętał dobrze jeden z wiecówów. Miał powiedzieć robotnikom, żeby następnego dnia nie przychodził, ale słowa nie mogły mu przejść przez gardło. Wtedy zauważył, że ktoś biegnie na łąki od strony szpitala. Z odległości stu metrów poznał dugonogiego prezesa miejscowego LZS-u.

— Młodzież z całej gminy idzie z wami doktorze... w czynie przedzielnym wykończymy basen! — krzyczał tamten z daleka.

Doktorowi spadł kamień z serca.

Roboty szły potem w takim tempie, że po dwóch tygodniach skończono kucie basenu. Pieniędzy też znalazły się — pojechał doktor do Lublina, potem do Warszawy i otrzymał gotówkę niewykorzystaną w innych powiatach i województwach, a przeznaczoną dla młodych sportowców.

Opozycja jeszcze nie dawała za wygraną, chociaż o basenie mówilo już całe województwo. Robotnicy ze Zjednoczenia Energetycznego przyjechali i w czynie pierwszomajowym doprowadzili do placu nad basenem linie świetlną i siłową. Wszystkie roboty zakończone na cztery dni przed wyznaczonym terminem otwarcia basenu. Wykopano i wywieziono około 4 tysiące metrów sześciennych

(Dokończenie na str. 7)

ANTON KLUGE

LIST Z WIEDNIA

AGRESYWNE dążenia mocarstw zachodnich w stosunku do Austrii pozostają w wyraźnej sprzeczności z postanowieniami Układu Kontrolnego z 28 czerwca 1946 r. Układ ten, zawarty przez Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Francję bez czynnego współdziałania Austrii, uwzględnia jednak istnienie rządu austriackiego i jego organów wykonawczych. Organem kontrolnym, wyłonionym przez cztery mocarstwa okupacyjne, miała być „Sojusznicza Komisja dla Austrii”. Jednym z jej zasadniczych zadań było utrzymanie niezawisłości państwa austriackiego oraz do czasu ostatecznego ustalenia jego granic — zapewnienie ich nienaruszalności, według stanu z 31 grudnia 1937 r. Do spraw wyraźnie zastrzeżonych dla bezpośrednich zarządzeń Sojuszniczej Komisji należało między innymi, demilitaryzacja we wszelkim zakresie: wojskowym, gospodarczym, przemysłowym, naukowym i technicznym.

Tymczasem Stany Zjednoczone łamiąc systematycznie zobowiązania

lem i Włochami, gdzie miasta portowe Genua i Livorno są rozbudowane jako ważne bazy morskie dla transportów amerykańskich.

Amerycanie nie ograniczyli się do remilitaryzacji okręgu Salzburga, lecz przystąpili w Tyrolu do rozbudowy centrum wojskowego w Salzburgu i obozów wojennych w Eschnitztau i Aum.

Na wzór Amerykanów Anglicy przystąpili do remilitaryzacji Karyntii, która ostatnio nabrała większego znaczenia strategicznego z uwagi na politykę zbrojeniową sąsiadujących z nią Włoch i Jugosławii. Anglicy tworzą tutaj centrum wojskowe w okolicy miasta Villach.

W agresywnych planach amerykańskich przeznaczono rejonowi Alp Austriackich podwójną rolę: bazy dla ofensywnych operacji oraz na wypadek niepowodzeń i klęsk armii atlantyckiej — twierdzy obronnej, trudnej do zdobycia, czyli rolę wojskowego „reduitu”, wyznaczoną Alpom Austriackim już w planach hitlerowskich, unicestwionych swego czasu przez



ALECSANDRU TOMA

NA 23 SIERPNIA

O dniu wolności! po latach klęski
Dwudziesty trzeci sierpnia zwycięski!
Trąbka nad Wołgą — a trąbce wnet
Od Karaimanu wtóruje flet.

Armia nam tarczą — Stalin pochodnią,
Kres barbarzyńskim rządcom i zbrodniom!
Odtąd rumuński, dzielnym nasz lud
Ma nowe prawa u nowych wrót.

Przekłete wczoraj wali się, pęka —
Skarby stuleci znów w naszych rękach
Synowie pracy — z asfaltu front —
Zapał roboty zapala lont.

Walka trwa dalej — głosząc przed światem;
Dość głodnych dzieci, dość panów z batem —
W braterskim marszu na wolny szlak
Jak gór karpaccich swobodny ptak.

Tłum. z rumuńskiego Dusza Czara-Stec

i Włodzimierz Lewik

ANDRZEJ SKIBA

Cena ucisku

„CZASAMI — mówił niedawno brytyjski minister kolonii, Lennox-Boyd — czasami okazuje się rzeczą konieczną niszczenie zbiorów, zarówno gdy znajdują się w ręku partyzantów, jak i wówczas, gdy mogą znaleźć się w ich zasięgu. Zdaniem rządu Jej Królewskiej Mości i wysokiego komisarza na Malajach, środki takie mogą przyspieszyć zakończenie na półwyspie obecnej wojny, która staje się zupełnie nie do zniesienia”.

Sztuczność i urzędowość, a nawet abstrakcyjność określeń w ustach przedstawiciela rządu nie jest tylko przejawem ciężkiego stylu parlamentarnego. Abstrakcyjność formuł służy wyraźnym celom: stopnia wrażliwość opinii, rozbraja wspomnienia, uchyla poczucie współodpowiedzialności za zbrodnie — odbarwiona, ujęta w ogólnikowe definicje „naukowe”, ukazaną w postaci „naturalnego” procesu gospodarczego i socjologicznego. Tak szandarowy ideolog ludobójstwa, Bertrand Russel, mówi o „konieczności polityki depopulacyjnej” mającej na myśli wojnę. Wojnę przy pomocy metod najbardziej nieludzkich i okrutnych, co w jego słownictwie nosi nazwę „środków skutecznych”.

Bomby, napalmowe padają na Koreę i Vietnam. Półtonówki plynącego ognia zmieniają w płonące żużle miasta i wsie, owoce pracy ludzkiej i samych ludzi. Wojny bakteriologicznej wypierają się Amerykanie na Korei. Wojny bakteriologicznej nie wypierają się Anglicy na Malajach. Komunikaty sztabowe wydawane w Kuala-Lampur mówią o zrzutach „hormonów przeciwnoślinnych” na pola ryżowe, co powoduje zupełnie zniszczenie zbiorów. Ludność nie ginie — to prawda — z tyfusu, czy cholery. Umiierać — śmiercią bardziej pożądaną — śmiercią głodową. Najpierw dzieci i starcy, potem kobiety, a wreszcie — zniechęceni — powstańcy.

Wynikiem jest wzrost oporu, powiększanie się szeregów powstańczych. Uprawa plantacji malajskich wymaga dziś obecności całej ołbrzymiej i kosztownej armii i możliwa jest tylko w bezpośrednim zasięgu baz wojennych. A podobny stan rzeczy istnieje lub narasta we wszystkich pozostałych koloniach brytyjskich. W początkach bieżącego stulecia, a nawet jeszcze w okresie międzywojennym, imperium kolonialne było dla W. Brytanii źródłem olbrzymich dochodów. Było źródłem zysków tak wielkich, że monopole angielskie mogły z po-

wodzeniem rzucać dość znaczne kwoty na przekupywanie arystokracji robotniczej, na tworzenie w szeregach robotniczych „białej gwardii” pseudo-socjalistów stanowiących najlepsze oparcie burżuazji. Oportunizm typu Macdonalda był tarczą ochronną kapitalizmu, największą zapora dla ruchów rewolucyjnych.

Dziś według urzędowych optymistycznych statystyk całość wszystkich zysków z kolonii brytyjskich



nie przekracza w przeliczeniu na głowę ludności W. Brytanii 5 szylingów rocznie. Rzecz zrozumiała, że procent jaki z tej sumy przypada „górce” robotniczej jest zupełnie znikomym, że maleją z dniem każdym wpływy spadkobierców Macdonalda, wpływy Attlee i Morrisona i wpływy Bevana — pierwszego i drugiego rezerwy burżuazji.

Ale 5 szylingów na głowę, to tylko teoria. Na drugą szalę wagi padają koszty zbrojeń, budowy baz i prowadzenia uciążliwych kampanii kolonialnych. A oprócz tych kosztów w pieniądzu są jeszcze koszty krwi: żołnierze brytyjscy ginący pod zwrótnikami dla utrzymania kruszącej się władzy monopolu górniczych, plantatorów i miejscowych feudalów.

Naród angielski wciąż jeszcze należy do rządu uciskających inne narody, przy czym formy ucisku stają się coraz bardziej brutalne i coraz mniej skuteczne. Lecz wyzysk kolonialny nie przynosi mu dzisiaj nawet okrucichów ze stołu

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Wolność jest niepodzielna

TEMAT „kolonializm”, w dzisiejszej sytuacji historycznej szczególnie ważny i aktualny, ma w literaturze holenderskiej niebyle jakie tradycje. Już w r. 1860, Edward Dekker, b. urzędnik holenderski w Indonezji, wydał — pod pseudonimem *Multatuli* — powieść „Maks Havelaar” (wznowioną w polskim tłumaczeniu przez „Książkę i Wiedzę” w r. 1949), która wstrząsnęła sumieniem postępowej ludzkości. Na podstawie osobistych przeżyć, obserwacji i doświadczeń, zdymisjonowany z powodu swych liberalnych i humanitarnych poglądów — Dekker obnażył z niezwykłą jak na owe czasy odwagą, nie-ludzkością i ohydą systemu kolonialnego, metody wyzysku i ucisku, stosowane przez holenderskich imperialistów, bezbrzeżną nędzę i upośledzenie ludności tubylczej. Pisząc swą rewelacyjną i oskarżycielską książkę, Dekker powołał się szlachetnym uczuciem humanitaryzmu, zasadami elementarnej sprawiedliwości oraz gorącym pragnieniem ulżenia doli ciemniejących Indonezyjczyków — drogą moralnej krucjaty przeciwko barbarzyńskiej bezwzględności kolonizatorów. Lecz zrozumienie istotnych źródeł dostrzeżanego zła było Dekkerowi obce; nie zdając sobie w dostatecznej mierze sprawy z ustrojowych, gospodarczo-społecznych założeń imperializmu, Dekker chciał raczej uświatać powierzchowne symptomy choroby, niż leczyć ją od podstaw — radykalnie i skutecznie. Wystąpienie Dekkera poruszyło wprawdzie postępową opinię wielu krajów Europy, lecz — jeśli chodziło o skutki — pozostało głosem wołającego na puszcy, głosem jednego sprawiedliwego w imperialistycznej dżungli chciwości, bestialstwa i wszelkich zbrodni, dokonywanych na „kolorowym” człowieku.

Rodak Edwarda Dekkera, współczesny postępowy pisarz holenderski, wybitny działacz ruchu pokojowego — Theun de Vries, sięgnął do innej epoki, z więk za świadomością polityczną niż autor „Havelaara”. Akcję swej powieści o „Purpurowym płaszczu wolności” (*), umiejscowił na Wyspach Antylskich, będących po dziś dzień terenem kolonizacji francuskiej. Epoka, o której pisze de Vries — to pamiętny okres rewolucji antyfeudalnej, rozpoczętej we Francji w r. 1789. — zaś bieg akcji powieściowej wiąże się historycznie z wydarzeniami rewolucyjnymi w metro-

polii i jest przez nie ściśle uwarunkowany. To, co się dzieje na Gwadelupie i innych wyspach Antylów, jest częstokroć odbiciem zachodzących we Francji przemian i przełomów. Zgodnie z zasadami wolności i równości wszystkich obywateli wobec prawa, proklamowanymi przez Rewolucję Francuską w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. W dekretach Konwencji z r. 1792 i 1794, zniesiono niewolnictwo Murzynów na plantacjach antylskich i nadano byłemu niewolnikowi prawa obywatelskie. Wolnościowe reformy rządu rewolucyjnego znalazły olbrzymie uznanie. Ludność murzyńska opuściła plantacje, chwyciła za broń i wespół z białymi żołnierzami Republiki walczyła przeciwko rojalistom i interwentom brytyjskim. Jednak — znaną koleją rzeczy — załatawsiwszy się z feudalizmem, zwycięska burżuazja Francji odrzuciła hasła rewolucyjne i zdradziła swych plebejskich sprzymierzeńców. Po zagarnięciu władzy przez Napoleona, w r. 1802 przywrócono znowu niewolnictwo na Gwadelupie i sąsiednich wyspach, a władza przeszła w ręce powracających z wygnania obszarników, plantatorów, kupców i sprzymierzonych z nimi niedobitków arystokracji.

Powieść de Vriesa mówi przede wszystkim o narodzinach wolności na Gwadelupie, o zwycięskich walkach wojsk Republiki i powstańców murzyńskich z rojalistami i Anglikami. Bohaterem głównym powieści uczynił jednak autor nie bojownika wolności, który z bronią w ręku łamie aż do końca ucisk i tyranię „białych panów”, lecz młodego Murzyna — Dawida, artystę-malarza, który dzięki swym zdolnościom pozyskał pewne „względy” plantatora i „awansował” na kamerdynera. Ta szczególna sytuacja osobista Dawida, traktowanego znacznie lepiej niż jego czarni bracia, izoluje go od społeczności murzyńskiej, a co za tym idzie — przyćmiewa jego samowiedzę narodową i społeczną. Wyławdowanie wojsk rewolucyjnych na wyspie, udział Dawida w walkach z okupantami angielskimi, znajomość i zbliżenie się z komisarzem Republiki Wiktorem Hugues'em, realizującym politykę Rewolucji — to wszystko przyspiesza proces umysłowy i duchowego dojrzewania Dawida. Nie jest on wprawdzie urodzonym żołnierzem, będzie jednak służył Republice i swemu narodowi orzełm pięknej sztuki malarzkiej, wznosząc się w tej dziedzinie aż do wyżyn mistrzostwa. Oto w krótkim zarysie fabularny wątek powieści de Vriesa, zakończony wyjazdem Dawida do stolicy rewolucyjnej Francji. Udaje się tam nie tylko jako przyszły uczeń Akademii, lecz również jako zaufany kurier komisarza Huguesa, wiozący ważne listy i dokumenty.

W stosunku do opisywanych w powieści de Vriesa wydarzeń i jej tła historycznego, Dawid nie jest jednak bohaterem w pełni reprezentatywnym. Fakt ów zaciemnia w pewnym stopniu ideowe perspektywy powieści, z czego autor stara się jednak rozgrzeszyć, wprowadzając — obok Dawida — Murzyna Masson, prawdziwego przywódcę swego ludu, wyraziłcia jego wolnościowych dążeń. Masson ginie przy szturmie fortyfikacji angielskich, lecz spadkobiercami jego bojowego, nieugiętego ducha pozostają inni powstańcy murzyńscy, jak Scipio czy Bonny, którzy poprowadzą dalej dzieło wyzwolenia.

Staranny rysunek charakterów ludz. ch (Murzyni, plantatorzy, oficerowie i komisarze republikanscy), wyraziście „jęty i odtworzony egzotykiem koloryst lokalny oraz użekająca plastyka fragmentów opisywanych — oto szereg wybitnych zalet artystycznych powieści de Vriesa, które równoważą i wspomniany wyżej — niezupełnie trafny z punktu widzenia całości obrazu — „bór bohatera i pewien nadmiar afrykańskiej mistyki obrzędowej, której mgłą okrywa autor niektóre partie powieści.

Lecz najważniejszy jest wcieleny w obrazy artystyczne sens ideowo-polityczny, który daje się wyraźnie wyczytać z kart powieści de Vriesa — wolność jest niepodzielna, a ujarzmione narody kolonialne mogą liczyć na wyzwolenie tylko w tym wypadku, jeśli w krajach, które wydały imperialistycznych „zdobyców” i gnębicieli, o balony zostanie ostatecznie i bezwzględnie ustrój krzywdy, niesprawiedliwości, przemocy i wyzysku człowieka przez człowieka. Powieść de Vriesa, chociaż sięga w dość odległą przeszłość historyczną, jest żywym i niepowspodzianym dokumentem literackim świętej walki przeciwko drapieżnemu i zbrojeckiemu kolonializmowi — walki, która poprzez etapy poszczególnych, już osiągniętych i widomych sukcesów, skończyć się musi — w naturalnym biegu wydarzeń — całkowitym i niedwołalnym zwycięstwem wolności.

Bolesław Dudziński

* Theun de Vries, „Purpurowy płaszcz wolności”. Tłumaczyła z jęz. niemieckiego Teresa Jętkiewicz — Warszawa, „Czytelnik” 1951 — str. 242.

Anton Kluge

Andrzej Skiba

TADEUSZ MURAS

Kronika radziecka

A W L I T E R A T U R Z E...?

LITERATURA RADZIECKIEJ SZKOŁY

NA rolę nauczyciela w środowisku wiejskim wrócił po raz pierwszy uwagę w 1947 roku w czasie mojej pracy instruktorskiej w wojewódzkim związku młodzieży wiejskiej „WICI” w Łodzi. W jednej ze wsi powiatu racomazkańskiego chłopcy oczekiwali jeszcze w tym czasie powrotu ich nauczyciela, który w r. 1938 został aresztowany przez władze sanacyjne za rewolucyjną działalność we wsi, organizowanie strajków i manifestacji. Wieś miała skądk informację, że nauczyciel ich podczas działań wojennych 1939 r. z więźniami się wydał. Nikt nie znał późniejszych jego losów. Mógł zginąć w kampanii wrześniowej, lub paść w walkach partyzanckich. A może ciało jego spłonęło w krematorium któregoś z obozów koncentracyjnych? Nikt tego nie wie do dziś dnia. Po prostu mimo oczekiwań, nie wrócił i zapewne chłopcy tej wsi nie ludzą się już nadzieją, że wróci kiedykolwiek. Zginął, jak miliony innych ludzi, którym prawa do życia odmówiła „kultura zachodnia”.

Spośród wielu najbliższych, jakich wieś wiele straciła podczas okupacji, śmierć nauczyciela była stratą najdotkliwszą. W najtrudniejszych chwilach potrafił on natchnąć ludzi wiarą we własne siły i ukazywał kształt lepszej przyszłości, o którą należy, mimo trudności, bić się z uporem i odwagą.

Opowiadali mi ci ludzie, jak bardzo brakowało im takiego człowieka w tych latach, kiedy Niemcy wywłaszczali ich i na chłopskich gruntach założyli folwark, a zabudowania indywidualne w dużej części rozebrali. W r. 1947 mieli oni za sobą dziewięć ciężkich lat, w czasie których wspomnienie nauczyciela - rewolucjonisty było źródłem nadziei i wytrwałości.

Któż nie pragnąłby zasłużyć sobie na taką pamięć?

Ten nauczyciel urosł już do roli bohatera, o którym we wsi opowiadano z czcią, wspominając przedwojenne strajki, manifestacje i różne, jak mówiono, „ruchawki”. O nim rosła legenda, która z każdym rokiem potęgowała, lecz zawsze służyła ludziom jako argument przeciwko tchórzostwu, reakcji i zacołaniu.

Później miałem okazję spotkać się z wieloma nauczycielami osobi-

ście. Niektórzy nie wari tu najmniejszego wspomnienia. Tych było niewiele. Ich zawód nauczycielski był zwykłą ironią, jaką los czasem człowiekowi potrafi zgoutować. Zdecydowana większość nauczycieli, których poznałem, to ludzie, o których zapewne urodnie kiedyś również legenda, a ich pamięć będzie otaczana taką samą czcią we wsi, jaką otaczają pamięć swojego nauczyciela chłopcy radomazkańskiej wioski.

Na czym polegała działalność tych ludzi i ich bohaterstwo? Przede wszystkim na tym, że swej pracy wychowawczej nie ograniczali tylko do młodzieży szkolnej, lecz rozszerzali ją na młodzież pozaszkolną i starszych. Wypadali im działka wbrew ustalonym na wsi poglądom, jakim holdowała nieraz większość chłopów.

Nauczyciel znajduje się ustawicznie pod ostrzałem opinii wsi, z którą musi się liczyć. Trzeba było nie mieć odwagi, by wystąpić przeciw chłopu w sprawach tak doniosłych dla niego, jak np. los jego indywidualnego gospodarstwa. A każda sprawa na wsi wokół tego gospodarstwa się obraca. Nawet działalność biblioteki i zespołów świetlicowych w konsekwencji sprowadza się do tego, czy zainteresowania chłopów mają się ograniczyć tylko do spraw związanych z jego gospodarstwem, czy też mają poza nie wykroczyć. Sama odważa się to niejednokrotnie nie wystarczała. Nauczyciel musiał posiadać nie tylko autorytet i ogromną znajomość miejscowych ludzi i spraw.

Zawsze była to działalność o niesłychanej „oniósłości dla późniejszego życia wsi. Rósł kolektyw, w którym dojrzewała moralna i światopoglądowa jedność jego członków. Kolektyw taki brał zwykle w swoje ręce realizację wielu spraw, które stawały przed wsią. Czy ten kolektyw nie roszadził w pewnym momencie starego, skostniałego życia na wsi? Rzeczywistość wykazała, że tak działało się wielokrotnie. Kolektyw taki kształtował opinię wsi, ba! on też opinie stanowił — atakował i kompromitował wszelkie zacołanie, przesydy i głupe.”

Zasługa tego, kto ten kolektyw montował, kto był jego moralnym opiekunem i organizatorem, jest ogromna. Był nim prawie zawsze

nauczyciel. Brał śmiało w swoje ręce, bądź to prowadzenie zespołów czytelniczych, które były takimi samymi kolektywami, jak gdzie indziej kolektywy młodzieżowe, bądź też włączał się w aktualne akcje polityczne lub gospodarcze, wykazując wiele zainteresowania tymi sprawami, co nigdy nie pozostawało bez wpływu na środowisko.

Świadomą i twardą działalność, jaką widziałem u nauczycieli na wsiach, rozwijają w czasach przemian tylko ludzie wietrzy, których pamięć czczą późniejsze pokolenia, o których powstaje pieśń i legenda. Ci ludzie powinni dostać się na karty najlepszych naszych powieści o wsi.

A dziwne jest to w naszej literaturze, że pisarze nie widzą roli nauczyciela na wsi. Nie widzieć nauczyciela w środowisku wiejskim, to tyle, co nie znać nie tylko nauczyciela, który akurat pisarza, być może, nie interesuje, ale i samej wsi, która tego nauczyciela posiada, niejednokrotnie jako jednego jej agitatora i organizatora.

Występując u Antoniego Olchy („Most nad urwiskiem”) nauczyciela, który pełni w powieści funkcję sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, nie możemy brać pod uwagę. O tym, że bohater jest nauczycielem, autor poinformował nas w podobny sposób, jak informuje się czytelnika, jakie imię nosi bohater. Nie ma ani jednego zdania na temat, jak nauczyciel prowadzi szkołę i jak łączy swą pracę pedagogiczną z pracą społeczną w środowisku. Nauczyciel powieści Olchy jest takim samym sekretarzem partii, jak sekretarze większości powieści o wsi współczesnej, którzy nie mają żadnych innych zainteresowań ani obowiązków prócz działalności politycznej we wsi. Jego tytuł zawodowy może być w zupełności pominięty w utworze.

Nauczyciel w „Wspólnej dolinie” Pietaka, też nie może być brany pod uwagę, ponieważ zerwał ze swoim zawodem i przyłączył się do grupy dywersyjnej, zorganizowanej przez kulakstwo. Ta postać „Wspólnej doliny” spotkała się z głęboką krytyką ze strony nauczycieli, związanych ze spółdzielniemi produkcyjnymi, którzy domagali się w swej dyskusji, aby nauczyciela potraktować w literaturze należyście i

poważnie). Więcej nauczycieli w literaturze o wsi współczesnej nie ma.

O czym świadczy ten brak? Wydaje mi się, że świadczy on o niezrozumieniu tego, że nauczyciel jest naprawdę pozytywnym bohaterem na wsi.

Weźmy choćby taką sprawę, jak dopracowywanie się nowych form działalności. Samo to jest już powodem wielu głębokich przeżyć i doświadczeń. Nauczyciel przegra w jednej formie agitacji, zabierze się do pracy inaczej. Sam teren pracy pedagogicznej w szkole jest nieraz w odmow rewizji własnej postawy wobec spraw środowiska.

Drugim momentem niesłychanie ważnym w rozwoju ideologicznym nauczyciela jest to, że bojowy nauczyciel będąc przed wojną działaczem chłopkiem, po wojnie został ogromnie wyprzedzony przez życie. Nauczyciel najczystszy był związany z ruchem ludowym lub spółdzielczością. Idee, które przewodziły ruchowi ludowemu, ZMW „WICI” lub spółdzielczość ustąpiły miejsca jedynie stuszej i niesłychanie sprzecywanej ideologii klasy robotniczej. Kierowniczą rolę w życiu wzięła w swoje ręce klasa robotnicza dokonując w szybkim tempie wielu reform, stawiając przed faktem dokonanych naszych ludowców, srodzielców i wiciarzy w terenie. Ich ideologia, pełna burżuazyjnych obciążań i kompromisów, w pewnym momencie stała się zupełnie bezużyteczna. Wiejski działacz został ogromnie zdystansowany i pozostał w tyle. Kiedyś kierował, dziś musi podążać za innymi, wytrwale uczyć się nowych, nieznanych mu kiedys spraw.

I tu widzimy rozwój i to rozwój pełen trudności, konfliktów — właśnie taki, jaki został pominięty u pozytywnych bohaterów naszej literatury o wsi współczesnej. Taką postać może wnieść do utworu wiele prawdy o wsi i naszym, niezmiernie ciekawym, życiu współczesnym. O niej chcielibyśmy czytać, ją nagrodzić pamięcią i uznaniem, o niej muszą dowiedzieć się następane pokolenia, którym te postacie będą służyły za wzór ofiarności i poświęcenia wielkiej sprawie.

Tadeusz Muras

*) „Nauczyciele ze spółdzielni produkcyjnej” Wiersz Nr 8, 1952.

Być działaczem — nauczycielem

(Dokończenie ze str. 6)

wa się przełom zasadniczy — powstaje spółdzielnia produkcyjna.

Stare pokolenie coraz wiecej jawnie rozumie doniosłość oświaty szkolnej i pozaszkolnej dla młodzieży, dla jej przyszłego na wsi życia.

Wszystkie zatem są po temu warunki, aby chłopom-rodzicom skupić wokół szkoły w Komitecie Rodzicielskim. Wszystkie też są po temu warunki, aby nauczyciel w tym środowisku osiągnął autorytet, o jakim dotąd w dziejach nauczycielstwa nie mógł marzyć.

„Nauczyciel ludowy — pisał Lenin — powinien stanąć u nas na takiej wysokości, na jakiej nigdy nie stał, nie stoi i stać nie może w społeczeństwie burżuazyjnym”.

Na te wyzwanie nie wyniosa go rolę „latającego Holendra” po gminie. Wyniesie go to, co zdziała w Komitecie Rodzicielskim i co zdziała sam Komitet.

DO WZMOŻENIA PATRIOTYZMU GROMADY
Sięgnijmy po przykłady.
Komitet Rodzicielski w Księżu Wielkim (pow. Miechów) zapewnił

DR BALASZ NIE JEST SAMOTNY

(Dokończenie ze str. 5)

ziemi, 2 kilometry nowego koryta rzecznej, zbudowano tamę na rzece, a 4 mostki, a u ujścia basenu wielki filtr. Odwodniono 60 ha bagnistej łąki, zbudowano nawierzchnię nowej ulicy — Sportowej.

Przed otwarciem basenu opozycja jęczała raz dła znać o sobie.
— W jesieni udało mu się napuścić wody, bo spadły wreszcie deszcze. Zobaczymy, jak teraz będzie?

Chociaż zapadła nos, niecierpliwie wędrowali wzdłuż nowego koryta rzeki, patrząc jak przybywa wody. O północy nad łąkami podniosła się wraza. To krzyczyli mlodzi z radości, bo przez filtr przedarła się pierwsza fala czystej jak kryształ wody i bryzgnęła o cementowe dno. Na dwanaście godzin przed uroczystością zielonkawe lustro sięgało już brzołgów.
Młody lekarz przyznał szczerze, że nie słyszał w życiu miłszej muzyki od plusku spływającej do basenu wody. O uroczystościach wspomina mimochodem. Było na otwarciu kilka tysięcy ludzi, zespoły sportowe z Lublina, przedstawiciel z Warszawy. Złota odznaka LZS i honorowe uczestnictwo w zlocie młodzieży osłodziło mu kielich gorzocy. Najwięcej jednak cieszył go, że w czasie wakacji młodzieży korzysta z wody całej dzień. Wieczorem przychodzą kapać się chłopcy i dziewczęta ze wsi albo przyjeżdżają robotnicy z budowy w

dzieciom należyte warunki odrobienia lekcji. Uchyli wieczorne pieki kuchennego pieca przeszły dzieci na duży stół, pod jasną żarówkę. Dla najbardziej niezdolnych Komitet zorganizował dożywianie, szkołę zradicjonizował, zakupił różne pomoce naukowe, w rezultacie oceny niedostateczne spadły w bieżącym roku o 40 proc.

W Rokicinach (Łódzkie) pod wpływem nauczyciela Sowiły budują chłopcy gromadzkim nakładem nową szkołę i Ośrodek Zdrowia.

W Knorydach (gm. Mielnik) Komitet zakupił duży dom i zobowiązał się na własny koszt przebudować go na szkołę i świetlicę.

W Wilczewie (pow. Rypin) Komitet przebudowuje mleczarnię na szkołę i równocześnie z pomocą GRN-u stawia nowoczesny zakład mleczarski.

We wsi Wiewiórczyzna (pow. Giżycko) Komitet Rodzicielski zakontraktował na odłogach uprawę lnu, aby wyposażyć szkołę i gromadę w radio, pomoce naukowe, sprzęt sportowy i teatralny.

Na cóż wskazują te przykłady?

Rejowcu a nawet z Chelma, bo w okolicy trudno znaleźć większą rzekę albo staw.

Rozstaliśmy się na wózku za izbą porodową. Pokazywał nam przed pożegnaniem las, który zasadził razem ze swoimi pracownikami tej wiosny. Na jałowym gruncie 40 tysięcy sadzonek sosny wczepiło się korzeniami w piasek i każdego roku strzelać będą o 40 centymetrów wyżej. Po czterech latach przerastać będą czło-wieczka — zmieni się malaryczny klimat w Siedliszcu.



Rozdarta sosna i młody las w Siedliszcu — doktor Judym i ten, pełen wiary w siły własne i społeczne, lekarz z osady.

Dwie historie z życia dwóch ludzi z dwóch różnych epok.
Papierowy bohater — zawyrkując może nie jeden z was po przeczytaniu tej historii. — Judym kochał, cierpiał, a doktor z Siedliszcza... Gdzież jego życie osobiste?

Spokojnie. On znalazł też swoją Joasie, ale z niej nie zrezygnował. Pokazali mi ją na ulicy w Siedliszcu. Młoda, ładna dziewczyna. Schylała się nad biało wylakierowanym wózekiem (towar z ostatniego transportu do GS-u) i coś w nim poprawiała. Zdążyłam dostrzec tylko dwie malutkie piąsteczki nad brzegiem tego wózka.

Krystyna Palys

Na czynny współdziałal wsi w rewolucji kulturalnej. Chłopi witały z radością budowę każdej nowej szkoły, ale gotowi są również sami budować szkoły. Na tej drodze chłop wnosi świadomość ponad plan inwestycje w nową Polskę. Na tej drodze, oczywiście, najłatwiej zdobyć się na przelanie rezerw pieniężnych, jakie daje mu podnoszona produkcja rolna, rentowna hodowla i uprawy przemysłowych roślin.

Dzieła przecieć w interesie dzieci i ich przyszłości. Taki bywa początek w ruchu Komitetów Rodzicielskich.

Uczenie dla dzieci i wiara w ich szczęśliwą przyszłość wywołuje tę pierwszą zbiorową inwestycję... na szkołę.

Ale w zorganizowanym w Komitecie Rodzicielski środowisku raz wytworzone ujęcie dla patriotycznej inicjatywy — może rozszerzyć jej zakres. Napierw inwestowanie w rozwój kultury na wsi — szkoła, świetlica, radio, sprzęt sportowy, teatr lny. Potem jeszcze szerzej: ośrodek zdrowia, mleczarnia itd.

Rozwijają się i metody. Od osobistej składki do akcji zespołowej, która wydobędzie nowe rezery inwestycyjne z pracy i produkcji dodatkowej.

Ten udział w inwestowaniu nowego ustroju ma wagę materialną ale jeszcze większą polityczną. Daje on bowiem zawsze więcej, niż dał, skoro dając z kolei głębsze rozumienie obowiązków wobec państwa, daje większą gotowość w ich wpołnieniu. Wywołuje współzawodnictwo gromad. Podjęcie zobowiązań z honorem i dumna radość ze zwycięstwa, z wcześniejszego terminu, z ponad planu.

WZMAGAĆ REWOLUCJĘ KULTURALNĄ

Ale w tym procesie rozwijania świadomego współdziałania wsi w rewolucji gospodarczej i kulturalnej rola wychowawcza nauczyciela powinna być nie mniejsza niż jego rola w szkole. I może być! Wskazują na to przykłady.

Rodzice ze wsi Rybno (Krakowskie) przybywają na lekcje do szkoły, przysłuchują się wypowiedziom młodzieży. Stąd krok do „seminarium” rodzicielskiego, na którym przeszli popularny kurs nauki o Polsce Współczesnej. W rezultacie organizuje Komitet wycieczki szkolne — dzieci i starych na wielkie budowy przemysłowe.

W Piłźnie (gm. Rędziny) chcieli chłopcy dobrze zorganizować kontraktację. Odwołali się przez Komitet Rodzicielski do szkoły o pomoc w „teorii praktycznej”. Wykładał więc im biolog technikę używania nawozów, wyjaśnił proces vegetacji wysokorentownych roślin przemysłowych, pouczył o sposobach ich pielęgnacji.

Wiesław Jażdżyński

GDY mowa o pracy wychowawczej wśród młodzieży, wyobraźni naszej narzucają się nieodparcie wspomnienia chłopcy i dziewczęta z „Poematu pedagogicznego”. Pod wpływem tej książki ustąpiłam do ZMP — powieści, która niedawno jedna z gorliwych wielbicielki powieści Makarenki.

Zastugi radzieckiego wychowawcy i pisarza-artysty, prawdziwego „inżyniera ludzkich dusz” są olbrzymie. Prace jego — właśnie „Poemat”, „Chorągwie na wieżach”, „Książka dla rodziców” — to pomniki radzieckiej epoki na progu jej zwycięskiego kształtowania się.

Kiedy autor „Poematu pedagogicznego” rozpoczął prace wychowawcze w młodzieżowych zespołach na koloniach, pedagogika radziecka stawiła pierwsze kroki. Ważnym czynnikiem wychowania w duchu komunizmu były pionierskie poczynania Makarenki. Ale dzieła Makarenki to nie naukowe traktaty, lecz utwory artystyczne, sama zaś działalność znakomitego wychowawcy opierała się nie tyle na przemyślanym i jednolitym systemie pedagogicznym, ile na sile, na przykładzie niepowtarzalnej, bogatej indywidualności. Upięknienie wiele lat. Takiej młodzieży, jaką opisywał autor „Poematu pedagogicznego”, już nie ma. U progu obecnej epoki czuły, młujący wychowawca nadawał „pierwszy kształt radzieckiego człowieka gromadom „beprzyzornych”, dzieciom bezdomnym, ofiarom wojny domowej. Teraz do szkoły radzieckiej weszły dzieci, wyrosłe w okresie zwycięskiego socjalizmu.

Dlatego trzeba pamiętać, że wiele wychowawczych metod, opisanych w artystycznych dziełach Makarenki, dziś nie może znaleźć w radzieckim systemie wychowawczym. Radzieckie dzieci są teraz inne i wymagają innego podejścia, innej „taktyki wychowawczej”.

Braki w systemie pedagogicznym Makarenki nie powinny przesłonić nam olbrzymich wartości „Poematu pedagogicznego”. Słuszny i aktualny jest punkt wyjścia: wychowanie jednostki w ramach kolektywu, przez kolektyw i dla kolektywu. „Największy sens pracy pedagoga — pisał Makarenko — polega na tym, żeby wyselekcjonować i wychować ludzię dążności, a „leż, żeby te dążności wznieść na takie moralne wyżyny, które są możliwe tylko w społeczeństwie bezklasowym i które będą budziły w człowieku energię do walki o dalsze doskonalenie”. Wychowanie człowieka socjalistycznego — oto cel Makarenki. Dlatego to autor „Poematu pedagogicznego” żąda, aby sam personel wychowawczy stanowił kolektyw, aby przed młodzieżą stawał wielki optymistyczny cel — „radosć jutra!” Również słuszne są i nieprzemijające wskazania Makarenki, dotyczące znaczenia tradycji komunistycznej w wychowaniu, kary moralnej w obliczu całego kolektywu i dodatniej roli rodziny.

Wielki wychowawca i artysta Antoni Makarenko śmiało i odkrzewco wnosił nowe wartości komunistyczne do szkoły i życia — do literatury.

Idąc już urozoną drogą, mając przed oczami szlachetny cel wychowania komunistycznego literatury radziecka stworzyła w ciągu trzydziestu lat wiele pięknych książek o szkole i młodzieży, dała liczne celne typy radzieckich chłopców i dziewcząt. Zadanie wychowania młodzieży podjęto we wszystkich gałkach literackich: powieści, opowiadania, poemacie, poezji, satyrze, dramacie, komedii. Wykaz bibliograficzny zawiera głosze nazwiska autorów i znane tytuły dzieł: opowiadania A. Gajdara, Mikolaja Ostrowskiego — „Jak hartowała się stal” A. Fadijewa — „Młoda Gwardia”, Katarjewa — „Za Władzę Rad”, W. Kawierina — „Dwaj kapitanowie” utworzy M. Priszwina, S. Grigoriewa, W. Brianki, B. Żytkowa, S. Kassila, B. Osiejewej, M. Prileżajewej, A. Musatowa, N. Nosowa, L. Woronkowa, B. Bielajewa, M. Iljina, N. Michajłowa, W. Safonowa; poezje S. Michalkowa, S. Marszaka, A. Barto, K. Czukowskiego; sztuki sceniczne S. Marszaka, S. Michalkowa, M. Swietłowa i innych.

Żeby w tej pracy nie szedł tylko w pojedynkę: Na zebraniu Komitetu Rodzicielskiego, tak iak do szkoły, też winien być zaangażowany GRN-u, GS-u, POM-u itd., jeśli wśród członków Komitetu nurtują potrzeby z tamtych zakresów.

Ale przede wszystkim winien łączyć się we wspólnym frontie rewolucji kulturalnej z działaczami bliskimi mu w tym dziele: ze świełicowcem, bibliotekarzem, kierownikiem kina, przedszkola, radiowizła, korespondenta itd.

Ten wspólny front trzeba dziś żywawo budować. A budować, to nie znaczy tylko szanować pracę działaczy z różnych dziedzin kultury. Znaczy to — planować ją wspólnie z obliczaniem łącznego skutku, z wyznaczaniem sobie zadania do zrealizowania przy pomocy wszystkich działaczy, kiedy będą wiedzieli, jakie zajmują miejsce w planie.

Bo choć oczywiste jest, że bez rewolucji gospodarczej nie byłoby, nie mogłoby być — rewolucji kulturalnej, „ale też nie realizujemy rewolucji gospodarczej bez rewolucji kulturalnej”.

W roku przełomowym dla realizacji Planu 6-letniego — w r. 1952 — nauczyciel na wsi winien zrozumieć, że i dla niego nadzsedł moment przełomu.

Ze od niego oczekujemy skoncentrowania wysiłków w zakresie pracy działacza oświatowego, że od niego oczekujemy ofensywy na falcie rewolucji kulturalnej na wsi.

Jakie jest główne znaczenie radzieckiej literatury młodzieżowej?

Radziecka literatura szkolnomłodzieżowa ukazała ścisły związek — nierozdzielalną jedność „ojców i dzieci” w walce o komunizm. Pisarze radzieccy stworzyli niezapomniane obrazy młodzieżowych bohaterów-patriotów, uczniów szkoły radzieckiej (jak np. w „Młodej Gwardii”). Jak niegdys Pawka Korczagin, w kilkanaście lat później Oleg Koszewoj z rówieśnikami podejmują walkę o ojczyznę, o komunizm. Ofiarnie, odważnie staje w męskiej sprawie dorosłych: walczy.

Pokolenie młodzieży wychowane zostało na nieśmiertelnych wzorach Korczagina, bohaterów „Młodej Gwardii”, Borysa Gorkikowa z powieści „Szkoła” A. Gajdara, Pawlika Morozowa z poematu Szczepaczowa, bohaterów „Starej twierdzy” W. Bielajewa, Zoji i Szury Kosmodiemińskich i wiele innych. Postacie stworzone przez pisarzy (lecz nie wymuśnione, a wziete z życia) uczą patriotyzmu i internacjonalizmu, uczą być godnym wielkiej stalinowskiej epoki, przygotowują do życia i walki w Związku Radzieckim.

Szkoła radziecka — szkoła nowego typu jest najbardziej produkująca, postępową szkołą świata. Ona daje młodzieży materialistyczny światopogląd, uczy umiejętności kolektynowego współżycia, wgnia uczucia miłości ojczyzny i internacjonalizmu, przygotowuje w pełni do „dorosłego” życia.

W ostatnim czasie pojawiło się wiele prac, których tematem jest szkoła, lekcje, okres wakacji, życia ucznia w rodzinie, zainteresowania dla wielkich budowli komunizmu i walka o pokój. Należy wymienić: „Jasne dale” A. Andriejewa, „Jurko Wasiuta” A. Danzenko, „Saszo” L. Smielianskiego, „Zielona wyspa” A. Waleńskiej, „Gwiaźdzka” J. Wasilenko, „Altajska powieść” L. Woronkowej, „Dom na górze” A. Musatowa, „Na krawcach ziemi” i „Ognie na rzece” N. Dubowa, „Zródło” J. Tajca, „Trzecia brigada” A. Grigulisa, „Wielka Wolna” G. Kulickiego, „Wasiek Trubaczew i jego towarzysze” W. Osiejewej i in.

Trudno omówić wszystkie książki poświęcone zagadnieniu młodzieży i jej dojrzenia w radzieckiej szkole. Zarzynamy się pokrótce na ostatniej powieści nagrodzonej Nagrodą Stalinowską: Mikolaja Nosowa „Witek Malejew w szkole i w domu”.

Fabula powieści jest całkiem prosta. Dwóch chłopców Witek Malejew i Kostek Szyszkin uczą się w czwartej klasie. Na oni są to dobrzy chłopcy. Ale Witek goni za piłką nożną i nie może nadążać z lekcjami arytmetyki. Kostek lubi bawić się z psem, czy kotem i zaniedbuje naukę roszyjskiego. Autor pokazuje, jak chłopczy uświadamiają sobie własne błędy, jak nadrabiają spóźnienia przy pomocy kolektywu szkolnego i stają się dobrymi, pilnymi uczniami, członkami szkolnej społeczności.

„Wartość książki polega na tym, że ukazuje ona oblicze radzieckich dzieci, podkreślając ich moralny czynność, umiłowanie życia i ojczyzny. Uczniowie uświadamiają sobie to co się uczą, zaczynają rozumieć, że celem nauki jest przygotowanie młodzieży do pełnego twórczego udziału w życiu Związku Radzieckiego. „Marzysz — mówi Witek Malejew — o czymś cudownym i chcesz przedź wyrosnąć żeby być bardzo silnym i śmiałym, dokonującym różnych wielkich czynów i stać się bohaterem. Oto jakie nam marzenia. Myślę, że iie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ojciec mówi, że w naszym kraju każdy człowiek osiągnie uszność. czego zapragnie — jeżeli tylko będzie się uczył. Bo wiele lat wstecz, akurat w dzień 7 listopada, przepe-dziłmy kapitalizm, któryj ci-skali naród i teraz wszystko należy do narodu. Oznacza to, że i do mnie, bo ja też jestem naród”.

Tak z chłopca wyrasta przyszły aktywny człowiek radzieckiej społeczności.

Radziecka młodzieżowo - szkolna literatura posiada drogocenny ładunek ideowy, który pozwala nam wychować nowego człowieka.

Grzegorz Timofiejew

KOMUNIKAT

W związku z tym, że wpłynęło wiele listów z prośbą o przesunięcie terminu nadsyłania prac na konkurs ogłoszony przez Ministerstwo Oświaty i Związek Nauczycielstwa Polskiego przy współudziale Instytutu Wydawniczego „Nasza

Warunki konkursu:

- 1. Utwór konkursowy NA TEMAT ZY-GIA SZKOŁY może dotyczyć okresu międzywojennego, okupacji i okresu po wyzwoleniu.
- 2. Utwór konkursowy winien być napisany prozą (POWIEŚĆ, PAMIĘTNIK, ZBIÓR NOWEL, OPOWIADANIE itp.).
- 3. Utwór konkursowy winien zawierać najmniej ok. 100 stron maszynopisu z marginesem i interlinią.
- 4. Tematyka utworu może dotyczyć wszelkiego wszelkiego rodzaju (ogólnokształcące, zawodowe, różnorodne kursy itp.).
- 5. Termin nadsyłania prac: do 1 listopada 1952 r. Adres: Instytut Wydawniczy „Nasza Ksiegaria”, Warszawa, ul. Spasowskiego 4.
- 6. Utwór konkursowy winien być do-czytezasz nie może nie publikowany.
- 7. Prace nadsyłane należy opatrzyć godłem. Należy także podać adres wy-laczający w zakładowej kopercie opatrzonej tym samym godłem co eszemplarz.
- 8. Nagrody przewiduje się: pierwsza — 6.000 zł, dwie drugie po 3.000 zł, trzy trzecie po 2.000 zł.
- 9. Utwory konkursowe winny być napisane na maszynie, w wylatkowych okolicznościach mogą być nadesłane jako bardzo czytelny, a staranny re-kopis. Pożądane są eszemplarzy trzy. W razie trudności wystarczy jeden.

Komitet Organizacyjny Konkursu

JAK BĘDZIEMY WYBIERAĆ DO SEJMU? ORDYNACJA WYBORCZA DO SEJMU Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej str.104zł 1.30 <Książka i Wiedza>

Gazetka Gminna

JAN CUBER

Z POMOCĄ GROMADZIE

Kulak nie pomógł

W naszej gromadzie Słocin (gm. Grodzisk) pow. Nowy Tomyśl, mieszka 4 kulaków. Mają oni tegie gospodarstwo 15-20 ha, ale ziemie obrabiają głównie przy pomocy własnych rodzin, bo u nas dziś już ze świecą parobków szukać. Aktywność gromadzi u nas silny, tak że kulać na ogół siedzą, jak myszy pod miotłą. Ale to nie znaczy, żeby od czasu do czasu nie puszczali w ruchu jakiejś plotki. Trzeba powiedzieć, że ubiegłego roku odciągnęli sporo ludzi od odstawy tuczniaków. Mają w Nowym Tomyślu znajomych rzeźników, ten i ów poleciał na wysoką cenę żywca, nie rozumiejąc, że może jego syn lub córka będą musiały obyć się bez mięsa.

Jesienią ub. roku przytrafiło się tak: niejaki Poniecki Edmund prowadził gospodarstwo swojej bratancy. Było tego 37 ha, ale — jak się już rzekło — nie mógł dać rady, bo mu świadomość polityczna gromady przeszkadzała. Złote góry obiecywał, a jednak nikt do roboty mu nie

przyszli. Wtedy rad nierad odstąpił gromadzie, za zgodą władz, 25 ha na zagospodarowanie. Na tośmy właśnie czekaliśmy! Te 25 ha zapoczątkowało nasz zespół uprawy. Zebraliśmy w tym roku dorodne zboże, o jakim się kulaków nie śniło. W ten sposób nie zmarnowali się w gromadzie ani jeden ha cennej ziemi. Przeszliśmy nawet na rośliny przemysłowe.

Niektórzy chłopci mówią już o spółdzielni produkcyjnej. Jest to przeważnie biedota, której do niedawna ani w głowie była taka myśl. A wzięła się stąd, że mamy już we wspólnej gospodarce — 25 ha dobrej obronionej ziemi. Wynikałoby, że w pewnych okolicznościach i kulak przyspiesza nasz marsz do socjalizmu. Poniecki gotów by się nawet tym pochwalić. Nie wierzę mu, to gromada walczyła o zagospodarowanie każdego kawałka ziemi, bijąc się o wyższą wydajność sama, bez kulaków idzie ku socjalistycznej gospodarce.

Jan Szczepny

Spekulant w fufajce

Z naszego PGR-u w Szytowie (koszaliński) nikt się dotąd na korespondenta prasowego nie wyrobił. A to wcale nie znaczy, żeby nie było się czym pochwalić, albo skrytykować. Żniwa poszły nam sprawnie, ludzie napracowali się porządnie, nieźle sprawiła się ekipa akademików i o tym urzędziliśmy napisać. Ale Starostki, który wozł nasze mleko do miasteczka powiada — co będziecie pisać, byków narobicie, zaraz się dziennikarzy pojeżdżają, będzie kłopot i tyle.

To ja do niego — a możeby co skrytykować? — Skrytykować, u nas? Ale z ciebie patriota, honoru nie masz. Co skrytykować, kiedy wszystko w porządku.

Nie podobała mi się taka odpowiedź. I co się okazało? Wacław

Zawładamy wszystkich prenumeratorem naszego pisma, że począwszy od m-cy stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejski i miejski przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Jaki dać tytuł tej historii?

W Garlinie, gm. Grudusk, w powiecie ciechanowskim jest szkoła podstawowa. Szkoła korzysta z lokali wynajętych od gospodarzy. Jeden z lokali wynajął szkole ob. Wiśniewski Piotr. Za ten lokal Gminna Rada Narodowa w Grudusku płaci ob. Wiśniewskiemu Piotrowi 220 złotych kwartalnie, czyli 880 zł rocznie. No, i wszystko w porządku, powiecie. Należy się. Owszem, mielibyście rację, gdyby... Gdyby właśnie w lokalu wynajmowanym przez ob. Wiśniewskiego okna były dziury, dach cały i podłoga bez dziur. Ale jest akurat przeciwnie: okna zgnity i świeca dziurami dach przecieka jak sito, a w podłodze dziury i szpary dogodne tylko dla szcurków i myszy...

Naprawdę, powiadacie? Oczywiście. Innej rady nie ma, jak tylko naprawić. Ale ob. Wiśniewski nie wie, kto to ma zrobić. Jako przewodniczący Prezydium Gminnej Rady Narodowej głowi się i głowi... Ani rusz nie może rozwiązać tego problemu. Czynsz w sumie 220 złotych kwartalnie, to wiadomo — dla niego, ale kto — u licha — ma remontować budynek? Tego nie może rozwiązać nijk. Może pomoże ktoś ob. Wiśniewskiemu rozwikłać tę niezwykłą zawiłą sprawę? Jedno jest wiadome: za dwa tygodnie początek roku szkolnego i dzieci przyjdą na naukę do szkoły. I bardzo będą ciekawe zobaczyć, jak też w nowym roku szkolnym wyglądać będzie ich klasa... I dzieci ob. Wiśniewskiego też przyjdą. Ale będą biedactwa wstydzili się za tatusia... I za Komitet Rodzicielski także.

Franciszek Strojowski

Starostki wyjeżdża sobie co rano do powiatowej mleczarni, zabierając 120 litrów naszego mleka. Policzyłem kiedyś bańki i wyszło mi, że zabiera na wóz 60 litrów więcej za każdym razem. Oko mam dobre, nie na darmo pracowałem się przy krowach 20 lat. Wypatrzylem go w miasteczku. Po nitce do kłębka — wykryłem dostawców. Są to znani kulacy, którzy pod firmą naszego PGR-u prowadzą spekulantski handel.

Wniosek mój jest taki: trzeba przepatrzyć w całej Polsce dostawę mleka, a nuż się kryje za socjalistycznymi gospodarzami więcej takich Starostekich?

A co do naszego handlarza, proszę redakcję, żeby go narysowała, jak sprzedaje mleko „na lewo”. Nadmieniam że jest chudy na twarzy, obrośnięty niedbaluch, ma na sobie fufajkę — czyli wawatankę i dwa nienajlepsze konie.

Wojciech Skorzepa

Irena Mazurkiewicz

WOJCIECH DRYGAS

KONFERENCJA prasowa w Gminnej Radzie Narodowej była naznaczona na godzinę dziewiątą.

W pięć minut później w drzwiach szeroko otwartych wyprostował się okazały postać sam Bociankowski.

— Zaczynamy panowie! Stuk otwórka o blat stołu i lekkie sykanie oznajmiło pierwszą mowę. Był to głos mego sąsiada — delegata CUSiK-u. Wymowa jego — to była najprawdziwsza woda z kranu. Mówca doznał z lekka kilku zasadniczych momentów z życia sekretarza Bociankowskiego, z czasów, gdy obaj — on, Jakubczyk i jego zwierzchnik sekretarz — rozpoczęli trudną i niewdzięczną działalność na szczeblu gminnym, nie szczeniąc swych sił i udołnień dla dobra chłopskich mas pracujących. Poruszył potem dość ogólnie kwestię przygotowań do żniw i omlotów, w których sekretarz Bociankowski oddał ponoć znakomite usługi. Położył następnie nacisk na jego wybitny talent wytrwałego organizatora, uwieńczony tytułami znakomitymi sukcesami. Dał wreszcie do zrozumienia, że pozorne braki (wyraz „pozorne” mówca powtórzył trzykrotnie!), napawające pewnym niepokojem obu dziennikarzy, istnieją nie z winy sekretarza Bociankowskiego, lecz z konieczności. Są one jak te żdźbła słomy walające się przecież na każdym podwórku (wyraz „każdym” mówca powtórzył trzykrotnie!), na podwórku każdego, nawet najlepiej postawionego gospodarstwa. Jednym słowem nie sposób ich uniknąć. I po kilku ciepłych słowach pod adresem przemitych gości, przedstawicieli tego wspaniałego wyznaczu, jakim jest opinia publiczna, mówca zakończył ku ogólnemu zadowoleniu.

— A co? — szepnął mi czule w ucho Jakubczyk.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć powstał ktoś z końca sali. Skoro tylko ruszył z miejsca wszyscy skupili uwagę, zaś sekretarz Bociankowski zaszał niespokojnie nogami, jakby odpędzał od łydek uświeckiego kundla. Chłop czerwony na twarzy, w potłatanej kurtce, mówił:

IRENA MAZURKIEWICZ

JADĘ BRACIE!

Coś sąsiad tak wesoly?

Co znaczą te toboly? —

Filipa Tomasz pyta.

„A, bom się zdecydował

Wyjechać z Sabinową:

Przesiedlam się i kwita!”

„Filipie, chyba bredzisz?

Siedź dalej tu, gdzie siedzisz

Od dziada i pradiada.“

„Siedź! —

haruj dalej! — znaczy.

Siedź! —

tyraj u bogaczy!”

— Filip mu odpowiada. —

„Nie chcę już być parobkiem,

Nie pójdę na „odrobki“

Nie chcę swych piasków orać!

Już przykrzy mi się, dłużej

W biedniackiej siedzieć skórce,

Z biedą się ciągle porać.

Zabieram żonę, syna.

Wyjeżdżam do Olsztyna:

Dziesięć ha na mnie czeka.

Tam będę miał do syta:

Ziemniaków. Na chleb — żyta.

Od własnych krówek — mleka.

Państwo mi dopomóż:

Przesiedli, da mi zboże,

Pozyczkę na inwentarz.

Pole i sad dostanę.

Budynki murowane

„Kpisz chyba?“

„Czym ja krętać? —

Znalazł mi gospodarke,

Już z miesiąć, pod Lidzbarkiem

Brat żony, osiedlony.

Mógłbyś też sąsiad jechać —

Tam jeszcze ziemia czeka.

Na orkę, siew, na plony.

Gdy ja tam już osiadę,

Gdy znajde, list wam przysię.

Zostawcie chude piaski

I chleb... z kulackiej „laski“...“

„Ha... pewnie się namyślię“.

STRZYŻEWSKI

KIEDY w r. 1949 do wsi Bagard (pow. sztumski) zjechał nowy kierownik szkoły, Strzyżewski, sytuacja we wsi przedstawiała się nienajlepiej. Gospodarka zacofana; życie społeczne i kulturalne niemal że nie istniało, zebrania gromadzkie świeciły pustkami. Panoszył się we wsi kulak,

Nowy nauczyciel — członek i aktywista partii — ruszył do trudnej walki o rozbudzenie gromady i pociągnięcie jej naprzód.

Po zapoznaniu się z dziećmi i zakorzenieniu sobie ich zaufania powołał do życia drużynę harcerską. W pracy z drużyną pomogła mu młoda koleżanka, absolwentka liceum pedagogicznego w Kwidzynie, która wzięła się do zorganizowania kółka artystycznego i chóru szkolnego.

W krótkim czasie harcerze doprowadzili do stanu używalności zaniedbane boisko szkolne. Zaczęto grywać w siatkówkę, często też urządzano na boisku zabawy szkolne. Sport i zabawy przyciągnęły młodzież pozaszkolną, która w ten sposób zaczęła dojrządować do ujęcia jej w ramy organizacji. I oto Strzyżewski porozumiewa się z ZMP i zakłada w Bagardzie koło ZMP-owskie.

Nie mogło to pozostać bez wpływu i na rodziców, którzy, dumni z sukcesów swych dzieci i swojej szkoły, zaczęli się z nią coraz mocniej wiązać, nie wahając się podejmować na rzecz szkoły pewnych zobowiązań materialnych. Coraz też większą rolę zaczęło spełniać koło ZMP-owskie, które w miarę podnoszenia poziomu ideologicznego uzyskiwało coraz większy autorytet wśród mieszkańców gromady. Wiele ZMP-owców zapisało się w wyroku dyskusji na różne kursy i do szkół zawodowych.

W tym czasie Strzyżewski został sekretarzem miejscowej Podstawowej Organizacji Partyjnej. Mając już pozyskaną młodzież rzuca teraz swe siły do pierwszej poważnej bitwy klasowej. Późną jesienią, kiedy niektórzy spośród biedoty pozostawali mocno w tyle z wykopkami ziemniaków, przybywa im do pomocy młodzież harcerska. Reakcja kulacka uderzyła na alarm: rozpełtał się gwałtowny atak na szkołę i nauczyciela, starano się wszelkimi siłami odciągnąć młodzież od pomocy biedocie. Wtedy to malarolni z Bagardu stwierdzili wyraźnie, kto jest jej przyjacielem,

a kto wrogiem — dokoła Partii i szkoły zaczyna formować się coraz to szerszy aktyw biedniacki.

Nie bez znaczenia dla tego procesu był fakt, że Strzyżewski, będąc radnym GRN, wykorzystwał wszelkie możliwości (polityka podatkowa, kredyty, maszyny), aby dopomóc biedocie.

Dostrzegając duże walory pomocy sąsiedzkiej i pracy zespołowej, zaczęli też z czasem roztrząsać podsuwany im przez członków organizacji partyjnej problem uspołecznienia wsi. Nie znając jednak w praktyce tego zagadnienia, zwrócili się do Strzyżewskiego — sekretarza Partii i nauczyciela — o zapoznanie ich ze statutem spółdzielni. Urządzono wtedy dwa razy w tygodniu głośne czytanie statutu. Czytali i tłumaczyli: nauczyciel oraz aktywiści partyjni i ZMP-owcy. I oto, po przeszło dwumiesięcznych żartach dyskusji o statucie spółdzielni podpisało 32 gospodarzy.

Tak w zacofanym niegdyś Bagardzie powstała spółdzielnia produkcyjna — dzieło wspólnej walki nauczyciela i stworzonego przezeń aktyw.

ALFAWICKI

SPÓLDZIELNIA produkcyjna w Michowie (pow. Kluczbork) jest dziś jedną z przodujących w powiecie. Spółdzielcy wybudowali piękne zabudowania gospodarskie, założyli kilkunastohektarowy sad owocowy, uzyskali znaczny wzrost plonów, wiesz została elektryfikowana i zradiofonizowana, założono żłobek i 2 świetlice.

Jeżeli poszukać źródeł tych sukcesów, jednym z nich będzie praca kierownika szkoły — Alfawickiego. Kiedy 2 lata temu obejmował on szkołę, zastał już we wsi dość mocną organizację partyjną. 9-ciu gospodarzy, osadników z Kieleckiego, dyskutowało na temat założenia spółdzielni, lecz walka toczyła się o średniaka, o wyrwanie go ze sfery wpływów kulackich. I do tej walki włącza się już od pierwszych dni swego pobytu nauczyciel, wspierając swym doświadczeniem Podstawową Organizację Partyjną i aktyw biedniacki. Odwiedza więc często rodziców po domach, bawi się z dziećmi, interesuje się kłopotami i trudnościami dnia codziennego. Zachodzi też do gospodarzy przy pracy, pogaduje na temat zwierząt gospodarskich (racjo-

nalne żywienie, leczenie) oraz trudności pracy na roli bez odpowiednich maszyn. Mechanizację rolnictwa przedstawia jako jedną z przesłanek dobrobytu wsi.

Alfawicki, podobnie jak Strzyżewski w Bagardzie, pamięta, że sama agitacja nie wiele pomoże bez organizacji, bez skupienia wokół sprawy spółdzielni zwartego aktyw. Organizuje więc LZS, wciąga młodzież do pracy w świetlicy, przygotowuje z nią razem pierwsze przedstawienie, które zyskuje uznanie gromady. Sport i rucn artystyczny przynoszą wkrótce ożywienie „spiącego“ dotychczas koła ZMP.

To była jedna droga organizowania się przez nauczyciela. Druga — to Koło Gospodyń Wiejskich. Alfawicki wciągnął do pracy wśród kobiet swą żonę. Przeprowadziła ona z początku kilka pogadanek z życia praktycznego kobiety wiejskiej, wkrótce zaś przeszła do systematycznego prowadzenia kilku równoległych działań: kroju, szycia na maszynie, higieny dziecka i szkolenia społeczno-politycznego. Z Kołem Gospodyń wiąże się ściśle i sam nauczyciel, pomagając w przygotowaniu przez nie okolicznościowych akademii. I rzecz ciekawa, niebawem starsze kobiety, członkinie Koła, wyuczyły się na pamięć wierszy, by sprawić gromadzie niespodziankę, prosząc jednocześnie o możliwość wystąpienia na akademii.

Te dwie siły: ZMP i Koło Gospodyń — wsparty organizację partyjną na tyle silnie, że stosunkowo wcześnie założona została w Michowie spółdzielnia produkcyjna.

Czy jednak nauczyciel uznał, że walka skończona i w ten sposób — wraz z założeniem spółdzielni — kończy się jego rolą jako aktywisty w gromadzie?

Oto w święto Trzech Króli niedługo po założeniu spółdzielni, członkowie, którzy dokonywali oporządzenia bydła, popili się i nie stawili dnia następnego do pracy. I wtedy znów rusza na pomoc nauczyciel. Mobilizuje grupę chłopców ze starszych klas i z nią razem po i żywi inwentarz spółdzielczy. Sprawę rozstrzygnięto na zebraniu ogólnym. Padają pod adresem nauczyciela słowa uznania i szacunku, winni zaś podeszli do zagadnienia samokrytycznie — fakt taki więcej już w spółdzielni się nie powtórzył.

Od tego czasu Alfawicki prowadzi w spółdzielni szkolenie partyjne, wpływając w poważnym stopniu na prawidłowy rozwój spółdzielni.

Warto jednak zapytać: czy tak poważny wkład pracy społecznej nie odbił się ujemnie na zawodowej pracy nauczyciela, czy nie obniżyli się przez to wyniki nauczania? Niech odpowiedzą fakty: w szkole miechowskiej w ciągu ostatnich 2 lat nie zanotowano niemal zupełnie wypadków powtarzania roku. Jeżeli zaś idzie o absolwentów, to olbrzymia ich większość poszła do szkół średnich czy zawodowych. Kilku zapisało się na kurs traktorzystów, by po powrocie zasilili w kwalifikowane kadry swojej spółdzielni. Jeden wstąpił do szkoły oficerskiej.

A same warunki pracy szkolnej? Trud nauczyciela opłacił się tutaj dziesięciokrotnie. Wraz z założeniem spółdzielni otworzyły się bowiem także dla szkoły przesłanki coraz szerszego rozwoju. Elektryfikacja, radiofonizacja, dwie pięknie urządzone świetlice stworzyły dziecinne dogodne warunki pracy Szkoła jako główny ośrodek kulturalny gromady, znalazła się pod stałą, życzliwą opieką spółdzielców.

Jan Cuber

JAN CZARNY

ATLANTYCKA KOŁYSANKA

**Nad kołyską sztandar w gwiazdy
Rzucił cienia sноп,
A w kołysce chłopiec jasny,
Na imię mu Bob.**

**Spij syneczku, dziecię moje,
Jeszcze nie wiesz sam,
Słowy twych broni przed pokojem
Dobry wujek Sam.**

**Spij syneczku, plyn spokojny
W snów dziecięcych port,
Jeszcze nie wiesz, co to wojny
Grabież, lynch i mord.**

**Już czekają cię zabawki,
Chociaż jesteś smyk,
Czołgi, bomby... Ciemne sprawki
Poznasz zatem w mig.**

**Gdy podrobniesz, książki, filmy
Zajmą wiele chwil,
Poznasz, jeśli będziesz pilny
Atlantycki styl:**

**„Siedem trupów“, „Mord
Murzyna“,
„Krwawy gangster Bill“,
Spluwa w pismach, spluwa
w kinach,**

**Atlantycki styl...
Gdy zabiją w tobie człeka,
Mundur dadzą ci;
Ze cię lepsza dola czeka
Snił, mój synku, snił...“**

Wojciech Drygas

KONFERENCJA PRASOWA W TOPOLI

— Za przeproszeniem obywatela sekretarza i pana delegata z CUSiK-u, my dobrze wiemy, że żniwa są ukończone, ale dotąd nie znamy planu omlotów. Kiedy, gdzie, kto i jaką maszyną będzie młocił? Dopraszamy się odpowiedzi...

Bociankowski niby potakiwał, ale palce prawej ręki bębniły niespo-

pytanie ciekawego sołtysa, czym narazem się na ciępkie i pełne wyrzutu spojrzenie sekretarza.

— Ależ owszem, owszem, zaraz to załatwimy — odparł niby obojętnie i począł szperać długo w ni-bieskiej teczce. Po chwili z wyrazem ulgi: „Jest!“, oświadczył:

— Według posiadanych przez nas informacji nasz Gminny Ośrodek

bie posiedzeniu. Wykonanie meldować!

— Meldować? — zdziwił się głośno kancelista, drapiąc się ołówek w głowę. — Kto ma meldować? Przecie, panie sekretarzu, u nas takiej komisji nie ma. Trzeba by najpierw zarządzić jej powołanie. Dla porządku w aktach... —

Sekretarz splonął rumieńcem i glosem cichym zaczął się rozwodzić nad niedopatrzaniem czynników podrzędnych, które, nie wyluczając obecnego tutaj na konferencji delegata CUSiK-u Jakubczyka, swym bezdusznym ustosunkowaniem się do spraw społecznych, zaśmiećką wzorowo utrzymane podwórko GRN, działając w ten sposób hamując na całokształt zagadnień natury gospodarczej. Owe żdźbła słomy które rozrzucają pełnymi garściami po wyższej wymienionym podwórku, on, Bociankowski, sam nie nadaje wyzbierać, gdyż siły strawione na służbie dla społeczeństwa nieraz już odmawiają posłuszeństwa, co musi przynajmniej samokrytycznie.

Oto inny jakiś sołtys, wysoki jak tyczka, korzystając ze sprzyjającej ci-oili milczenia, oświadczył śmiało:

— Nasza gmina, pożał się Boże, zalega za rok ubiegły z odstawa 84 ton zboża. Tak jest w papierach pana CUSiK-a. I co gorsze, prezydium GRN nie złapało kulaków za kudy nie zmusiło do odstawy takiego bogacza Władysława Olejniczaka z Chrzastkowa, który zalega ze sprzedażą 5.174 kg ziarna, czy Mieczysława Machnikowskiego, co to winien jest państwu przeszło 4 tony. kg. Dłaczego my, chłopcy biedniackie i średniackie, możemy odstawać? Dłaczego obywatel sekretarza nie poprze nas, kiedy domagamy się ukarania tych drani? Dłaczego?

Uczestnicy konferencji zapadli w głębokie milczenie, z którego nie wiadomo kiedy uciec. Kanonizowany przez Jakubczyka i na bohatera naszych czasów, a obecnie z minuty na minutę bezwzględnie detronizowany przez sołtysów, sekretarz Bociankowski posumiał.

— Oto mamy najlepszy przykład — Bocianowski powstał — jak niewłaściwie podjęta dyskusja sprawdza nas w ślepe załki Zmilitujecie się sołtysie! — grzmotnął pięścią w stół. — Mieście wzgląd na ważność tej konferencji... Konferencji prasowej — podkreślił z naciskiem.

— Oddaję głos naszym drogim gościom, kochanej prasie. Powstałiśmy z miejsc i kierując się w stronę drzwi za sołtysami, oddaliśmy po drodze szereg oficjalnych ukłonów pożegnanych. Odzyskaliśmy głos dopiero na łamach swych gazet.



Rys. — J. Walker

kojnie po stole. Zdjął z twarzy zadowolony śmiech, w salce zrobiło się mroczno i ponuro.

— Kto jest ten człowiek? — rzucił w stronę Jakubczyka.

— To jeden ze sołtysów, czekają na referenta rolnego Grabowską...

— Tutaj czekają? Dłaczego nie w biurze?

Jakubczyk rozłożył ręce na kształt świecznika.

— Biuro zamknięte na klucz, bo Grabowska wyszła...

— Gdzie wyszła?

— A bo ja wiem? Pewnie do domu... — ujawnił niezręcznie, a spiorunowany wzrokiem Bociankowskiego ryknął na niesfornych przybyszów: — Moi drodzy, teraz nie wasza odprawa, opuście natychmiast salę obrad! Tuaj ważna konferencja...

Chłop, czerwony na twarzy, spytał ze zdziwieniem:

— To niby młocki nie będzie? Odstawy zboża nie będzie?

Któryś ze sołtysów parsknął śmiechem, po salce poszły wesołe szepty. Odważyłem się podrzymać

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-62-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcja 751 80 do wewnętrznego 91, 63
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW „PRASA“, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-24248